

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 22 STYCZNIA 1927 ROKU

NR 4

TREŚĆ „NUMERU: Kult maszyny do pisania — C. r. Z pamiętnika lekarza szkolnego — *Anna Wolska*. Zróżnicowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska*. Królewicz w więzieniu — *Stefania Szuchowa*. Wiersz: „Bez ciebie” — *Marja Pawlikowska*. Jak słońce spija rosę (opowieść) c. d. — *Helena Ceyssingerówna*. Kobiety-żołnierze w powstaniu styczniowym — *Gustaw Kaleński*. Z muzyki stołecznej — *J. R.* Wspomnienie o redaktorce „Ogniska” — *Jadwiga Krawczyńska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Książki, nadesłane do Redakcji. Z książek — *L. A.* Z teatrów — *Z. P.* Kiedy zaczęło się panowanie serwetki, widelca, jadalni, pończoch, zegarków, wachlarza i pudru. Praca sportowa w halach gimnastycznych i w domu — *K. M.* W okresie bezlistnym — *Stanisław Schönfeld*. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — *Dr. med. Julia Świtalska*. Ubrania nieużyteczne. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Precz z mundurem — *Well*. Domowe ubranie dla pań. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kasterska*). Arkusz wzorów.

KULT MASZYN DO PISANIA

Tysiące kobiet poszukują pracy, a wśród nich 99 na 100 pragnie zdobyć posadę maszynistki w biurze. Moda, pęd owczy, chodzenie utartymi szlakami, drogą najsłabszego oporu!

Wyraża się w tem jednak i coś więcej jeszcze: niedorzeczny przesąd, jakoby zajęcie biurowe, nawet tak bezmyślne, jak pisanie na maszynie, było czemś szlachetniejszym od pracy fizycznej, rzemiosła, handlu.

Jeszcze się u nas strasznie poniewiera pracę fizyczną. Jeszcze się nie docenia błogosławionych jej skutków dla zdrowia organizmu. Jeszcze się nie rozumie, że człowiek powinien pozwolić się wyżyć wszystkim zgromadzonemu w nim siłom, a więc i siłom fizycznym — także.

Nawet w „Bluszczu” spotkałam niedawno ubolewanie gorzkie nad tem, że młodzieniec o skończonym wykształceniu uniwersyteckim znalazł po długich poszukiwaniach pracę... przy restauracji Zamku Królewskiego w Warszawie... noszenie cegieł.

Charakterystyczne jest, że gdy o podobnych wypadkach czytamy w powieściach Londona np. — wszystko dobrze! Cieszymy się nawet, gdy autor ukazuje nam, jak to w pustyniach północnego zachodu, młody mól redakcyjny nadludzkim wysiłkiem woli wyrabia w sobie tężyznę mięśni, hart, wytrzymałość, jak po oślizgłych ścieżynach górskich dźwiga na barkach skrzynie z prowiantem i t. d. Wszystko to podoba nam się, gdy ma miejsce gdzieś, na północ od San Francisco. Ale w Warszawie! młody inteligent polski! Zgroza!

Oczywiście, do noszenia cegieł przez całe życie zbyt wiele byłoby wykształcenie uniwersyteckie, ale krótki epizod taki w życiu inteligentnego młodzieńca nieszczęściem nie jest. Pozwoli mu on bowiem, poznać nieznaną dlań dotąd stronę życia, nauczy go lepiej od Londona, czem jest wysiłek fizyczny, i nauczy ludzi pracy fizycznej rozumieć, wyczuwać i szanować. Choćby tylko to, już zdobycz na resztę życia niepospolita!

Wracając do naszych zapalonych „maszynistek”, im także wydaje się, że sponiewierałyby swój honor inteligencji, gdyby, zamiast stukać na maszynie do pisania, zabrały się np. do naprawy butów. A do prawdy, kto wie, czy przylepianie łątek na butach nie wymaga więcej inteligencji, niż automatyczne przebieganie palcami po klawiszach maszyny.

A jednak... niedawno miałam przykład przed oczami, jak młoda panienka po kilkomiesięcznym bezrobociu, obarczona obowiązkami względem rodziny, odrzuciła wcale korzystną posadę sprzedającej przy bufecie w jednej z pierwszorzędných cukierni warszawskich, właśnie w imię takiego niedorzecznego przesądu. Stara się dotąd o posadę maszynistki. — Drugi przykład — bardzo charakterystyczny.

Są do wzięcia w administrację dwie działki ziemi na Wołyniu pod Krzemieńcem, niewielkie działki bogatego lössu; właścicielkami są kobiety, więc chciały swoje fermy oddać w administrację kobietom, na warunkach jaknajlepszych dla administratorów, marząc, że kobiety wprowadzą tam jedwabnictwo,

pszczelnictwo, uprawę roślin lekarskich i t. p. że, jednym słowem, zaprowadzą gospodarstwo postępowe, ucząc sąsiadów, jak wyzyskać najlepiej każdy kawałek gruntu, jak podnieść bogactwo kraju i t. d.

Aliści takich administratorek niema!

A są nieprzeliczone zastępy kobiet, szukających pracy, ale pracy nie twórczej, — bezmyślnej pracy, która przynosi na 1-go każdego miesiąca wyznaczoną mizerną pensyjke, ale o której się poza godzinami biurowymi nie myśli, w którą się nie wkłada duszy, która nie jest celem życia, a tylko nieznośnym i nie-nawistnym często dodatkiem do zabawy i użycia.

Czyż dowodzić trzeba, że taki stosunek do pracy zawodowej jest z gruntu fałszywy i zły, że człowiek z pracą swoją, jako z dziełem swego życia, zrosnąć się powinien, że ma być twórcą i budowniczym, który zostawi po sobie coś więcej, niż stoły zapisanych aktów, o treści nawet mu nieznanej?!

Doprawdy, gdy po zgonie Sędziego Najwyższego zapyta taką maszynistkę: co robiłaś przez życie? — odpowie nieszczęsna: pisałam, — ale nie będzie mogła powiedzieć nawet, co pisała.

Kobiety polskie daleko mniej zajmują się handlem, niż francuski, lub niemki. W handlu u nas znane są przeważnie kobiety nieinteligentne: „przekupki“, „sklepiczarki“ i przeważnie półinteligentne „panny sklepowe“,

Ale tam, gdzie trzeba samodzielnie prowadzić interes, kierować nim, wykazać inicjatywę, pomysłowość, energję i inteligencję — tam kobiet prawie niema.

A placówek niezajętych jest wiele — oczywiście nie w Warszawie i nie w stolicach dawnych zaborów. Ale wyjdźmy na głęboką prowincję, na Kresy, zajrzyjmy do opuszczonych przez Boga i ludzi miasteczek... często ani jednego porządnego sklepu — co najwyżej kramy żydowskie! A nie sądzicie, żeby tam sklep, czy księgarnia utrzymać się nie mogły! Przeciwnie.

Weźmy n. p. takie Jezioro w Grodzieńskim. Ludność miasteczka zamożna, w okolicy pełno osadników wojskowych; są tartaki, jest na wielką skalę prowadzona eksploatacja lasów państwowych, są urzędnicy, kupcy, cudzoziemcy, wojsko — w miasteczku zaś, ani jednego sklepu kolonialnego, jeden żydowski sklepik z towarami łokciowymi, i to prawie zawsze zamknięty; o cukierni, księgarni i t. p. — ani mowy! W takim Wiśniowcu, na Wołyniu nie było dotychczas ani jednego sklepu polskiego, czy ukraińskiego. Wyłącznie tylko żydowskie, małe sklepiki, a przecież w miasteczku są szkoły, okolica zaludniona zamożnymi osadnikami, włościanstwo również nie biedne. Obecnie powstaje tam pierwszy polski sklep kolonialny i prowadzić go będą kobiety.

Miasteczko, w rodzaju Jeziora i Wiśniowca, są tysiące.

Zapoznać się z warunkami miejscowemi, wyrozumieć szanse powodzenia i tworzyć placówki cywilizacyjne, bo każdy taki sklep na prowincji, księgarnia, czy cukiernia jest, a przynajmniej można żeń zrobić, placówkę cywilizacyjną. Czyż to nie lepiej i nie korzystniej ostatecznie, niż ubiegać się bezna-dziejnie prawie o posadę biurową?

Oczywiście, zasadniczym warunkiem, o który sprawa rozbić się może, jest posiadanie choćby niewielkiego kapitału; ale i o takie drobne kapitaliki łatwiej u nas, niż o inicjatywę, odwagę, rzutkość,

Obawa przed kłopotami, przed wysiłkiem myśli i ramion najczęściej jest przeszkodą do zakładania nowych placówek czy to handlu, czy rzemiosła.

A drobnych zakładów przemysłowych są tak samo, jak i sklepów, pozbawione te miściny i wsie kresowe. Ale do rzemiosła kobiety u nas mniej jeszcze garną się, niż do handlu. Przed niedawnym czasem doniosły pisma codzienne o odznaczeniu przez rząd francuski krzyżem Legji honorowej pewnej introligatorki paryskiej.

Odznaczenie to dostało się jej nie za jakiś czyn bohaterski, ale wprost za jej pracę, za doskonałe wykonanie robót introligatorskich.

Wartoby u nas wprowadzić tego rodzaju zachęty. Za mało, bowiem, szanuje się u nas jeszcze pracę, a po staremu przywiązuje wagę do blichtru, pozorów, zaśniedziałych uprzedzeń i wszelkiej tandety myślowej i życiowej.

Rzemiosło jest zajęciem bardzo dla kobiety odpowiedniem, tem odpowiedniejszem, że da się często wykonywać w domu, nie odrywając n. p. matki od dozoru nad dziećmi i od drobnych zajęć domowych.

Kobieta posiada dużo wrodzonych właściwości, które z niej mogą wytworzyć doskonałą rzemieślniczkę: cierpliwość, precyzyjność w wykonaniu, gust artystyczny i t. d.

Wprawdzie nasze szkoły rzemiosł i szkoły zawodowe kształcą w tym kierunku pewien zastęp kobiet, ale szkół tych nie przybywa, i program ich dość ciasny; są właściwie szkołami kroju, szycia, haftu i koronczarstwa; ale rozległe dziedziny rzemiosł przeróżnych, zupełnie dostępnych kobietom, jak szewstwo, introligatorstwo, zegarmistrzostwo, cyzelerstwo, rękawicznictwo, jubilerstwo, zabawkarstwo i t. d. i t. d. zupełnie nie są tam uprawiane, albo tylko w niektórych, i to w bardzo szczupłym zakresie.

Trzeba na te rzeczy zwrócić uwagę, boć ostatecznie posad biurowych przybywać nie będzie, można nawet spodziewać się nowej fali redukcji. Trzeba też myśleć realniej, niż dotychczas, o rolnictwie, hodowli zwierząt domowych, mleczarstwie, ogrodnictwie z jego podgałęziami, o pszczelnictwie, jedwabnictwie i t. d. i t. d. Nie ulega wątpliwości, że w Polsce przy pracy chleb znaleźć łatwo; chleba jest

pełno, trzeba tylko sięgnąć ręką, trzeba chcieć pracować, umiłować wysiłek i owoc własnych trudów, własnej samodzielnej twórczości, a nie ze ślepego zapamiętaniem trzymać się tej ogłupiającej maszyny do pisania, tego zawodu, który nie daje ani widoków na przyszłość, ani żadnej radości twórczej, który wyja-

ławia umysł i duszę, a organizm fizyczny długim siedzeniem na miejscu wyczerpuje z sił i sprawności, powodując niezliczone choroby przemiany materji.

Niezrozumiałym, doprawdy, jest ten kult maszynowy do pisania!

C. r.

ANNA WOLSKA

Z PAMIĘTNIKA LEKARZA SZKOLNEGO



oja czternastoletnia siostrzeniczka Hela lubi poważne dyskusje, w których ujawnia się nieraz kobiecy duch przekory.

— Ciociu Aniu,—odzywa się kiedyś do mnie — zrobiłaś mi zawód!

— Mówisz mi często o życiu intensywnym, o tem, że zadowolenie może

dać tylko taka praca, która jest naprawdę pożyteczną, a tymczasem sama jesteś teraz lekarzem szkolnym, bez którego, przecież, można się doskonale obejść!

— ??

— Przynajmniej u nas na pensji. Przecie ja jestem już piąty rok i nigdy się nie zdarzyło, żeby nasza lekarka szkolna na coś mi się przydała.

Bada mnie tylko wtedy, kiedy jestem zdrowa (co prawda, kiedy jestem chora, zostaje w domu). Od czasu do czasu przychodzi do klasy na pogadanki higieniczne. Powtarza nam, że powinniśmy wcześniej chodzić spać, czyścić zęby dwa razy dziennie, no i tysiąc innych nudnych rzeczy, które zresztą wszystkie już kiedyś słyszałam od mamusi. I ty, ciociu Aniu, jesteś takim samym lekarzem? Ja się tylko zastanawiam nad tem, czy ci się to nie przykry — to musi być jeszcze nudniejsze od chodzenia codzień na pensję!

.....

Wiemy o tem, że dzieci są najostrzejszymi naszymi krytykami.

Powiem więcej: potrafią być ironistami, złośliwymi od dorosłych.

Wywody mojej siostrzenicy Heli, to uszczypliwa karykatura lekarza szkolnego. Może trochę usprawiedliwia ją fakt, że ma matkę wykształconą, która ją chowa starannie i dba o wdrożenie jej do życia higienicznego od najwcześniejszych lat. Szczęśliwej Heli lekarka szkolna wydaje się zbyt uczynną, bo higieny jej pilnuje skrupulatnie matka, a jest za młoda, żeby ocenić całokształt pracy lekarki na terenie szkoły. Hela chodzi na pensję prywatną i ma koleżanki ze sfery zamożniejszej inteligencji. Już w gimnazjach

państwowych stosunki są inne. Gimnazja stają się przedłużeniem szkoły powszechnej, grupują dzieci sfer uboższych. Tu propaganda higieny zastaje pole mniej uprawiane!

Ale niezmierzone obszary do uprawy pod tym względem przedstawia nam szkoła powszechna.

Moje pierwsze wrażenia z pracy na tem polu były wprost oszałamiające.

Złożyło się może na to w części i to, że rozpoczęłam tę pracę nie w pełni sił i zdrowia, ale osłabiona świeżo przebyłą chorobą. Pierwszym moim odruchem było: uciec jak najdalej! Jak najdalej od tego dzikiego, hałaśliwego tłumu brudnych, prawie cuchnących dzieci. Nie mogłam zadosyćuczynić temu odruchowi — trzeba było zostać.

I dopiero potem, po szeregu tygodni tej zmudnej, uciążliwej pracy, zaczęłam rozumieć, że nie jest ona tak beznadziejna, jak się na początku wydawało; że może dostarczyć tych zadowoleń „życia intensywnego“, których brak w mej pracy niesłusznie mi wytykała rezolutna Hela. Powoli, po wciągnięciu się w pracę, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że stoją przedemną, jako przed lekarzem szkoły powszechnej, dwa główne zadania. Obydwa wymagają inicjatywy i zamiłowania do tego, żeby iść przebojem. Te dwa zadania — to walka z brudem i walka z gruźlicą.

Nie wiem, czy wszyscy uświadamiamy sobie smutny fakt, że jesteśmy narodem, mającym żywiołowy wstręt do czystości. Znałam wytworną, starszą panią, która mówiła mi kiedyś tonem nieco uroczystym: „Dziś właśnie wezmę ciepłą kąpiel“. — Tonem podobnym mówi się o rzadszych zabiegach leczniczych. Istotnie miła i wytworna starsza pani „brała kąpiel“ przeciętnie raz na miesiąc; w zimie, zdaje mi się, nawet rzadziej.

Jakże inaczej wygląda wobec tego nawet nasz barbarzyński sąsiad wschodni moskal, który obrzędowo idzie co sobota do „bani“ (łaźni), którą posiada każda najmniejsza nawet wieś.

Dzieci ze szkół powszechnych naszej stolicy są przerażająco brudne. Każdy z nas, lekarzy szkolnych, ma do pomocy tak zwaną higienistkę, osobę o wykształceniu pielęgniarki. Ma ona między innymi obowiązki obejrzenia każdego dziecka raz na miesiąc, w celu stwierdzenia stanu jego czystości (jak wielką jest ta praca, można wnioskować z tego, że pod opieką każdego lekarza szkolnego znajduje się 2,500—3000 dzieci). Rezultaty przeglądu są notowane na specjalnych kartach, komunikowane wychowawcy, czy wychowawcy oddziału. Doświadczenie wykazuje, że pod koniec roku szkolnego ilość dzieci brudnych się zmniejsza, aby potem zresztą wzrosnąć znowu do poprzednich rozmiarów po wakacjach, które zawsze stanowią przewrót w życiu dziecka.

Niezależnie od tych starań, przy badaniu lekarzem, natrafiam na okazy fenomenalne pod względem obojętności na brud. Współwinę nieraz ponosi matka i jej ignorancja. Często dziecko się tłumaczy, że „mamusia nie pozwoliła mi się porządnie umyć, bo byłem przeziębiony”.

W wypadkach jaskrawszych uciekamy się do dotkliwej kary: woła się woźnego, lub woźną, dla umycia dziecka. Wtedy są łzy, zamieszanie w całej

klasie i — na tydzień — dwa jest jakby trochę lepiej. W tej „walce z brudem” bywają epizody niezmiernie komiczne. W jednej ze szkół dziewczynka mówi do mnie:

— W zeszłym roku, jak pani doktor przychodziła do nas we czwartek, to ja zawsze dwa razy na tydzień zmieniałam koszulę: w niedzielę i we czwartek. — Jedna z koleżanek powtarza mi następującą swoją rozmowę z kilkoletnim chłopcem:

— Jesteś brudas, jakiego świat nie widział! Jak ty się nie wstydzisz tak się pokazywać w szkole? — Malec nie okazuje żadnej skruchy, przeciwnie „stawia się” buńczucznie i śmiało odpowiada:

— Proszę pani doktor, jak w zeszłym roku pani doktor stała przychodziła do nas co wtorek, to ja wiedziałem, kiedy mam być czysty, ale teraz, jak pani doktor była w zeszłym tygodniu w sobotę, a w tym — we środę, to ja naprawdę już nie wiem, na kiedy trzeba się dobrze umyć! — To są kwiatki, które zdobią naszą mozolną niwę.

Notując je wszystkie, można by zaopatrzyć dobrze niejednego „kącik humorystyczny”. Tylko czasami refleksje odprowadzają nas daleko od wszystkiego, co ma związek z wesołością i humorem.



C. WALEWSKA

3

ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

STULECIE DZIECKA I MATKI DNI OSTATNICH

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet”.

Rodzinom, które wierzą, że „w nowym stuleciu nowego człowieka stworzą”, poświęciła Ellen Key swoją książkę „Stulecie dziecka”. Wyszła w grudniu 1900 r., a zapowiedziano ją już w dzień Sylwestra 1899 r., kiedy cała Szwecja święci uroczyste pożegnanie starego roku i powitanie nowego. Dwudziestemu stuleciu narzuciła głośna autorka hasło:

„Wszystko dla dziecka i wszyscy z dzieckiem! Nowe pokolenie — jego pielęgnowanie i wychowanie musi stać się pierwszorzędnym zadaniem społeczeństwa. Prawa, obyczaje, urządzenia, instytucje dobra publicznego, wszystkie ważniejsze uchwały państwowe dobro dziecka winny mieć na względzie. Gdy dotąd z uroczystych mów szkolnych jedynie i z artykułów pism pedagogicznych dowiadaliśmy się, że na

czele wszystkich poczyną stać musi wychowanie pokoleń wstępných, — dziś w rodzinie, szkole i państwie należy tęzę tę wysunąć na plan pierwszy, jako wartość, która nie ma sobie równych”.

Rozgrzmiało na cały świat wołanie Ellen Key i dotarło do wszystkich cywilizowanych ośrodków życia społecznego. Zastanowiły się nad niem młode matki. Rozwały w myśli, jak same były chowane?

Liczna, gwarna, bujna rodzina, a one w niej, jak maleńkie ogniwo łańcucha, obejmującego całokształt środowiska domowego. Obracało się to w jakimś rytmie szaleńczym i na zewnątrz szło równo, jednakowo, bezpiecznie. Ale od wnętrza mogły targać dzieckiem wulkany, bo każde było zostawione samo sobie i treść

swoją czerpało z siebie, choć bytowanie gromadne zostawiało w duszy piętno niezatarte.

Ojciec poza domem. Matka — z tych dobrych, kochających, ofiarnych — wiecznie zatroskana, żeby Mania, Lucia, Staś, Kazio i dalej, dalej od pięciorga, sześciorga wzwyż — byli nakarmieni zdrowo, do syta, odziani dobrze, ładnie.

Rosło to i wychowywało się, jak samo chciało. Bony, guwernantki, koledzy, koleżanki, szkoła, dobrzy, zli nauczyciele ryli w duszach złe, dobre koleiny.

Ta droga, umęczona matka, której pracy i troskliwości nie doceniło żadne jej dziecko, — ta matka nie miała czasu zajmować się każdym z osobna. Różne ręce siały niewiadome ziarna. Wybujałości odrębnych indywidualizmów nie było granic. Porywy chimeryczne krępował tylko niezbędny rygor terminów szkolnych i obiadowych, godzin korepetycji, mało skomplikowanych sportów i ćwiczenia talentów. Szło to prawie mechanicznie. Dobra matka czuwała, żeby nie stanął zegar domowy i każda sprężyna była nąkręcona we właściwym czasie. Na nic innego nie mogła znaleźć chwili. Prawie nie było miesiąca, żeby które z sześciorga, siedmiorga nie zachorowało. A wówczas — noce bez snu. Ranki, południa, wieczory w znoju nieskończonej dreptaniny. Padała, lecz dzwigały ją jakieś niewiadome siły. Aż póki Staś, Kazio, Lucia, Mania i reszta pozostałych nie wyszli z pod jej opieki. Gasł wtedy płomień kaganka, w którym palił się jej trud ofiarny. Była już niepotrzebna. Mogła odejść, spocząć.

Mania, Lucia, dopiero mając własne dzieci, zrozumiały, czym była dla nich ta, która „nie miała własnej drogi“, *) bo na jej drodze stały one, ich bracia i młodsze siostry.

Ellen Key zażądała rewizji haseł dawnego macierzyństwa.

„Nie ta kobieta, na którą dziś (t. j. w 19-tym wieku) patrzymy, nadaje się na matkę. Dopiero wtedy dorosnie do tej godności, gdy siebie na matkę, a mężczyznę na ojca wychowa. Oboje w on czas będą mogli zabrać się do wychowywania nowego pokolenia, które wytworzy społeczeństwo, gdzie człowiek doskonały — nad człowiekiem — ukaże się w pełni blasku zorzy wschodzącej“.

Zaczęło się to wychowanie od zmniejszenia liczby dzieci w rodzinie inteligentkiej.

Neomaltuzjanizm. Zweikindersystem...

Jeszcze nie zdołała matka wychować ojca, bo ten cały dzień poza domem. Biuro. Szkoły. Szpital. Sądy. A wieczorem — bridż. No, i ważne posiedzenia. Kolacja na mieście, żeby nie budzić żony.

Nie wychowała męża. Ale sama przestudjowała całą Ellen Key, obłożyła się Higieną i Psychologią dziecka we wszystkich językach. Zaprowadziła pamiętnik niemowlęcia, od kiedy pozwolono jej, po urodzeniu go, ruszać się pisać. Postanowiła notować skrupulatnie każdą budzącą się myśl dziecka i wni-

kać w jego życie wewnętrzne, aż póki będzie z nią, potem nawet, zawsze, zawsze. Stworzyła koła, kółka, kółeczka młodych matek. Przejęta swoim dzieckiem, zatroszczyła się o niemowlę wyrobniczy i robotnicy fabrycznej. Wprowadziła towarzystwa Opieki nad dziećmi, Stacje Kropli mleka, Poradnie dla matek, szwalnie wyprawek dla nowonarodzeńców. Zdumę i chlubą niosła sztandar macierzyństwa. Ale — wiedząc, że „w rękach rodziców, którzy tylko dla dzieci żyją, jest dzieciom tak samo źle, jak w rękach rodziców, którzy uważają, iż dzieci tylko dla nich istnieją“, — starała się otaczać swoich Lesiów, Tadiów, Hanki niewidzialną, niewyczuwalną opieką.

Matki dobre, mądre, z prawdziwego Stulecia dziecka, nie zadomowiały się, jak ich własne matki, babki, prababki. Chcąc dać duszy dziecka coś z siebie, musiały brać pokarm wrażeń ze świata i nie ustawać w samokształceniu. Dbać o wygląd estetyczny domu i swój własny. Matki „z różą we włosach“ na przyjęcie gości, jak zapamiętał swoją matkę i pisze w książce o niej Kaden Bandrowski.

Matki z pod sztandaru Ellen Key, wczuwając się w duszę dziecka, przeżywały wtórne wrażenia sielskie-anielskie i młodość górną — chmurną. Było między jednym pokoleniem, a drugim ciągle przenikanie się wzajemne — osmoza, endosmoza psychiczna. Gdy przyszła wielka wojna i chłopcy poszli w bój, stężało w bólu serce matki, ale z piersi nie wydarł się krzyk. „Idź synu! — Tak trzeba“. Tak poszłaby ona sama, gdyby była nim. Zdarzało się, że — aby nie stracić go z oczów, — zostawała sanitariuszką. I było, ah, było — sama z pola bitwy zgarniała martwe ciało i wiozła do domu.

Albo nad ciężko rannym dniami, nocami czuwała w szpitalu. Drugie życie wstawało w niej wraz z życiem ozdrowieńca. Kończył się cel i sens bytu nad mogiłą żołnierzyka.

* * *

W każdym okresie były matki dobre i matki lekkomyślne. Tamte spalały się w ofierze; a dziecko, patrząc na ich trud, ziewało. Matki płocze były, jak wróżki z bajki. W gazach, w rosie brylantów, zwiewne, pachnące, stawały na progu dziecińca, pytały zagranicznej, albo krajowej nursy, czy lnek zdrów, a Kasia grzeczna? — Nim padła odpowiedź, już jej nie było. Musnąwszy czołka dzieci ustami, zniknęła, a w oczach lneka i Kasi zostawał obraz czarodziejski — najcudniejszy talizman wszystkich dni życia.

Wiadomo — piękna matka, obca życiu dziecka, jest najbardziej kochana.

Są dziś jeszcze paskarskie brylanty, ale gdzie typ zwiewnej czarodziejki?

Śmieje się z nad opalowej gazy tłusta twarz noworiszki. Nie zapamięta jej dziecko. Później, kiedyś może, przyjdzie łączność... business'u, lub — pychy

*) Kaden Bandrowski — „Miasto mojej matki“.

życia. Nie teraz, gdy w modrych oczętach drzemia jeszcze zaświaty.

Z odmetów powojennych wyrósł nienasycony głód wrażeń. Kina, dancingi, moda. Honor i cześć na kartę za flaszkę perfum, jedwabne pończochy, szenszyle, foki, koronki. Ale i tego mało. W gaje złud, dla których niema nazwy zdrowy sens życia, pędzą w szale opętańczym zmysły. Rozpętały się więzy odwiecznych nakazów. Kościół? — Przysięga małżeńska? — Dzieci?

Przesąd prababek. Żyje się tylko chwilą i tylko dla siebie.

Rzucanie ognisk rodzinnych z dnia na dzień stało się niemal regułą. I zmiana religji. Dziś z katolickiej na protestancką, jutro z protestanckiej na marjawicką, prawosławną, hodurowską, — która najwygodniejsza i z którą najmniej zachodu. Wszystko jedno, aby przypaść do raju wymarzonego. Drugi, trzeci, czwarty mąż...

Z którymś wreszcie może otworzą się bramy szczęścia. Dzieci? — Przecież nie zginą. Niech je chowa ojciec, czy jakieś obce ręce, obca wola i dusza.

„Wszystko już było“ — powiedział Urjel Acosta. Jednak nie wszystko.

Czy dla swoich dwu, trzydniowych miłości szukała kiedykolwiek jakaś kukułka latawica uświęceń pierwszego lepszego kościoła, żeby jakiś papiero-

wy dokument przetrwał od zmiany do zmiany nazwiska? — Czy przysnił się Urjelowi Acoście powojenny typ ojca — matki, na którego barki spada dziecko pierwszej, drugiej, może trzeciej żony?

Wpada niekiedy latawica na swoim smoku apokaliptycznym (bywa nią serdeczna przyjaciółka pani domu) w progi zżytego z sobą i względnie szczęśliwego małżeństwa. Zakręci się, jak fryga, spojrzy, dotknie aksamitnym paluszkiem przedziwa rodzinnego i — rwą się subtelne wiązadła. Dzieci wówczas zabiera porzucona matka i staje się tą Martą-Marją, która w znoju twardych dni dopracowywa się prawa bytu dla swego drobiazgu.

Spółczeństwo przechodzi do porządku dziennego nad kukułką, która obcym gniazdom podrzuca swoje pisklęta. I nad cynizmem przyjaciółki, która z lekkim sercem, bez staroświeckich wyrzutów sumienia, bez burżuazyjnych targań i walk wewnętrznych burzy zacisza rodzinne. — Żył! — Ach, żył!... Krzywda dziecka? — Gorzej, gdy patrzy na niesnaski rodziców.

Kazuistyka hasań, kazuistyka sumień, omam szaleńczy, psychoza, pęd ku jakiejś niewiadomej mecie, od której musi zawrócić — jeżeli już nie wytrzeźwione poczucie obowiązku, to instynkt, zdrowy instynkt macierzyński.

Jesteśmy przecież w pełni zapowiedzianego przez Ellen Key, a przyjętego przez wszystkie narody z uniesieniem — Stulecia Dziecka.

STEFANJA SZUCHOWA

KRÓLEWICZ W WIEZIENIU

Po jakiejś okrutnej wojnie, po pożogach, burzach tysięcy kopyt końskich, po błyskach strzałów i chmurach pędzących chorągwi dostał się pewien maleńki, niewinny królewicz do niewoli. Zamknięto go we wspałym pałacu na odludziu. Tęcza na niebie zakreśliła łuk, gdy go przywieziono, a pod łukiem, jak pod bramą, stał na zielonem wzgórzu nad jeziorem wyniosły pałac więzienie.

— To dziecko musi zginąć dla świata — rzekł Władca Zwycięzca. Całym jego światem niechaj się stanie pałac na wzgórzu.

Kazał przybić okna na moc. Olbrzymią kłódkę zamknięto na olbrzymi klucz, który utopiono w jeziorze.

Tylko wierni pachołkowie znali wyjście przez podziemia, na zielony stok, na pomost, na łódź i w świat!

Nad królewiczem czuwała piastunka. Wysoka, siwa, czarnobrewa, małomówna. Znała każde zmart-

wienie, każdą radość królewicza: Jakgdyby smutki naj, tajniejsze, nadzieje najskrytsze i najcichsze trwogamieniały się w duszki i chodziły jej szeptać prawdę gdy królewicz dumał, lub marzył.

Ale cóż, piastunka była niewidoma. Gdy królewicz podrośł, prowadził ją za rękę po czarownym pałacu i opowiadał, co widzi. A pałac był rozległy i pełen niespodzianek. Rzecz szczególna jednak: miał tylko kolorowe szyby. Z wysoko umieszczonych okien padały na wzorzyste dywany, na piękne parkiety tęcze olbrzymich witrażów. Adamaszkowe draperje, posążki, wazony z alabastru, zwierciadła, hafty, jedwabie i cacka wszystko ciągle mieniło się tęczowo. Królewicz przebiegał amfiladę komnat na małych stopkach, obutych w złociste ciżemki. Przebiegał, jak przez strumienie, przez siedmiobarwne pasma, leżące na posadzkach. Kapał się, jak w wodospadach, w ukośnych smugach tęcz. Chwytał w dłonie isierki, sypiące się z kryszta-

łowych lamp, i coraz to w innym snopie światła przepływał z ręki do ręki drogie kamienie, które brał ze skarbcza dla zabawki.

Kiedy skończył pięć lat, przestał się nagle bawić. Oparł dłonie o mur pod oknem i wspiał się na palce. Nie pomogło. Potem podskoczył. Znowu się wspiał na same ostre czubki ciżemek. Wreszcie zabołały go łydki, i odszedł.

Upłynęło dużo czasu na zabawie. Przejeżdżał konno, w zamkniętej ujeżdżalni przez kolorowe światła. Skakał przez smugi. Wreszcie pewnego dnia przystawił sobie wspaniałe królewskie krzesło do okna, wskoczył na nie, wspiał się na palce i... dojrzał pochyły mur, lecący w przepaść, i niszę okienną. Był nadzwyczajnie zawiedziony. Ale nie rzekł nic.

Gdy doszedł lat piętnastu...

— Nianiu moja — rzekł nagle — ja chcę zobaczyć świat.

— Ach, tak...

Wzięła twarz chłopca w obie dłonie. Wydawało się, że patrzy nań mądrym czołem, białymi powiekami! — Twoja biblioteka jest ciekawsza, twoja cieplarnia piękniejsza, sala do fechtunku wspanialsza. — Tak mówiła, a łzy jej spływały po twarzy.

— Pragnę widzieć świat — powtórzył królewicz

— Zobaczysz świat, gdy dorośniesz do okien — rzekła wreszcie, wzdychając. I przyszedł taki dzień. Królewicz chwycił taborecik, wspiał się na palce i przewyższył ramę okna o czoło i oczy.

— Nianiu — wykrzyknął — nianiu, widzę świat.

Piastunka podniosła się z karła. Rumieniec powoli zasnuł jej blade lica, a potem zgasł.

— Widzę świat — powtarzał królewicz — jest złocisty! Złocisty i błękitny!

Patrzył oczarowany. Świat był z najczystszej złota i błękitu. Ach, drzewa, drzewa ruszają listkami ze złota. Cóż je tak pieści, tak zgina? To ten błękit. Ach, niebo, dalekość, bezmiar promienisty! Ileż pytań zucił królewicz piastunce! o ptaki, o wieże, o lasy i łąki, o wody pofalowane, o olbrzymie, ruszające się chmury. Pytał, pytał bez końca.

Niedługo potem, gdy podrośł, wyrzwał przez inną szybę.

— Nianiu — zawołał. — Pomyliłem się. Świat jest różowy. Różowy, jak głąb mojej muszli. Ach, jakież jest cudny! Gdybyś mogła widzieć to niebo, tę otchłań szczęścia. To różane niebo!

— Pamiętam — szepnęła piastunka.

Nie upłynęło wiele czasu, a królewicz śmiał się niespokojnie, oparty skronią o framugę okna. — Jakże byłem dziecinny, nianiu. Już teraz wiem napewno, świat jest zielony. Zielony, jak moje palmy w cieplarni. Bujny jest, żywy, mocny.

Wyciągnął ręce, aż brzęknęły o szyby. — Rozko-

szą jest widzieć prawdziwy świat. Pozwól mi opowiedzieć sobie to, co widzę, wszystko rozumiem, pytam się o wszystko, tak bardzo chciałbym mówić, chciałbym nawet śpiewać, nianiu...

Niebawem, spojrzawszy przez wysoki witraż w baszcie, królewicz spoważniał. Pokiwał głową. — Świat jest czerwony, czy wiesz? — spytał ostro. — Okropnie czerwony. Wszystko się na nim pali, wszystko płonie. Nie rozumiem, jak mogłem być tak łatwowiernym, jak mogłem się mylić. Nic oczywistszego nad tę purpurę świata.

A potem przyszedł dzień, że płakał rzewnie.

— Świat jest czarny. Jak gorzko się ludziłem! O nianiu, uczyni co z moim sercem. Tak ciężko mi dźwigać jego nową, a najprawdziwszą mądrość.

Nigdy już, nigdy, skoro takim ujrzałem świat, nie uwierzę, aby mógł być innym.

Płakała z nim razem. Znała jego młode serce do dna. Nie zapytała jednym słowem, czy żałuje tęczowych złud z czasów, gdy okien pałacu nie dorastał. Upłynęło wiele miesięcy w smutku i ciszy. Królewicz długie chwile spędzał w bibliotece. Pewnego pięknego, słonecznego ranka królewicz nie wyrzwał już przez swoje „prawdziwe“ okno. Szedł przez długie szeregi komnat zaklętych, po kobiercach, kwiatach, po posadzkach z pięknego drzewa, po posadzkach z różowego marmuru, ze szkła i zwierciadeł, po pasmach witrażowych, szedł, jak zaszarowany. Aż zaszedł do maleńkiego pokoiku przy bibliotece. Tam przystawił drabinę, wszedł pod strop i zniósł na barkach olbrzymią księgę. Założył był w nocy między karty tej księgi agatowy nóż. Rozwarł ją teraz. Wyszarpał kartę. I czytając słowo po słowie, znów szedł przed siebie przez komnaty. Zstąpił do lochów, szedł według wskazań księgi lochami na prawo, potem w górę, czepiając się zimnych wilgotnych klamer. Wreszcie uderzył dłonią o drzwi żelazne. Poszukał tajemnych rygli palcami, co czuły, jak serce. Poszukał, znalazł... przesunął i pchnął.

Stał na stoku góry i widział świat. Uderzył mu w pierś ciepły, wonny wicher. Objął skronie dłońmi i patrzył.

Widział świat. Widział świat biały i słoneczny, widział zielone drzewa, modre niebo, czerwone języki ogniska pastuszego i czarne pnie drzew. Potem zakrył oczy.

Poraz pierwszy w życiu ścisnęła mu serce straszna trwoga. — Jeśli się mylę, — szepnęła — jeśli i teraz się mylę. Jeśli ja źle widzę!

— O świecie ty, — jęknął, — ty mój świecie, ty świecie niepojęty!

Zawrócił cicho. Szedł, jak we śnie, złożyć głowę na kolana niewidomej, spytać jej się o kolory, przytulić zmęczone serce.



MARJA PAWLIKOWSKA

BEZ CIEBIE

Nudno jest tu bez ciebie. Nudno do obłądu!
Jestem jeszcze wraz z wiewiórką i piskiem,
Piszę, czytam i palę, wciąż mam oczy niebieskie,
Lecz to wszystko tylko siłą rozpędu.

Wciąż jeszcze świt jest szary, zmierzch niebiesko złoty,
Dzień przechodzi na jedną, noc na drugą stronę
I róże zakwitają bez wielkiej ochoty:
Bo tak już są przyzwyczajone.

A jednak świat się skończył. Czy wy rozumiecie?
Świata niema i ja go nie stworzę.
Czas jest równy i cichy. Lecz czekajcie... może—
Może ja jestem już na tamtym świecie?



HELENA CEYSINGERÓWNA

4

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

Wino rozmarzało go coraz więcej, bliskość dziewczyny niosła inny rodzaj upojenia. Pouczał ją dalej:

— Miłość! Al! Sama nie wiesz — w niebie ty, czy na ziemi! a każdy nerw w tobie drga, każda kropla krwi prosi: więcej! więcej! Jeszcze! Jeszcze! Aż ty już całkiem bez przytomności, bez sił, prosto w niebie ty!

Krzyk się podniósł w drugim końcu salonu. To Siemionow przyparł do ściany Justynkę.

— Ty prekrasna! Ty prekrasna! — Powtarzał, szukając ust. Dziewczyna się broniła, więc szarpnął ją za rękę i rozdarł cienki jedwab stanika. Błysnęła twarda pierś. Dziewczyna krzyknęła po raz drugi, ale w tej chwili podbiegła Lotka i lekkim policzkiem w prawe ucho ściągnęła uwagę oficera na siebie. Pobiegnął za nią, chciał chwycić w pól, wymknęła się i Siemionow runął, jak długi, na środku pokoju. Podniosły się śmiechy głośne, pijackie. Młody oficer poderwał się sprężyć z podłogi i poskoczył znów za Lotkę.

— Ach ty panna! Ty mnie, oficera gwardji! Wybaczcie, Ilja Fedorowicz — teraz ja ją muszę pocałować!...

Lotka bardzo zręcznie przebiegała pokój, uchodząc przed nim ze śmiechem; wtem Ciocia Frania zgorszona, przerażona, zaplatała się między nich i przypadkowo wpadła oficerowi pod rękę. Zamiast Lotki, chwycił staruszkę w pól, objął i ucałował w same usta. Od braw i śmiechów zatrzęsł się salon. Ciocia zemdląła na rękach porucznika.

I znów zagrała orkiestra żydowska. Gołowinskij tańczył z Lotką, Siemionow z Justynką, Zwieniewski za damę tańczył ze starszym referentem powiatu. Inni spali, albo wysuszali do ostatka stojące szeregiem butelki, tokaj przeplatając „oczyszczenną”. A potem tancerze chłodzili się znów kruszonem, aż Siemionow, oświadczywszy, że musi pójść dowiedzieć się o zdrowie cioci... na śliskiej posadzce salonu ułożył się poraz drugi. Tym razem nie podniósł się już, zdjęty nagłym, pijackim snem.

Innych zmógł też ostatecznie stuletni tokaj, którego omszoną butelkę wyciągnął w końcu Jan z jakiejś skrytki... tylko Gołowinskij wciąż jeszcze był przytomny i, usiadłszy do fortepianu, zaczął grać z pamięci cygańską romanzę, Lotka stała przy nim... a w tem usłużny Zwieniewski dowcipnie zgasił światło...

Salon zaległ ciemności... i w tych ciemnościach poczuł pisarczyk powiatowy, że jakieś włochate łapy, łapy potwora... ujmują go za kark, za spodnie... i niosą w powietrzu... Otwiera się jakaś czeluść... Zwie-

niewski głosu ze strachu wydobyć nie może... Rzucają go... leci... wpadł w mroźną masę... śnieg! Wytrzeźwiał nagle... i przez okno werendy zobaczył, że w salonie pali się znów światło... panna Leokadja stoi zamyślona na środku pokoju... przy fortepianie z głową na klawiaturze... śpi urzędnik do szczególnych poruczeń...

To był obraz ostatni. W tej chwili porwał Zwieniewskiego atak epileptyczny i tłukł jego łbem o śniegi ogrodu, rozpryskując w powietrzu srebrne puchy.

Zwieniewski kopał śnieg.

III.

O późnem, zimowem świtanu zbudził się Gołowinskij i zdumiał.

Gdzież jest?

Poszukał zapalek, znalazł na stoliku, zapalił świecę i uważnie rozejrzał się dokoła... Leży na sofie w olbrzymim stołowym pokoju polskiego dworu... dokoła, pod ścianami, na kanapach i szezlongach, poukładani troskliwie, śpią towarzysze jego apostołskiej wyprawy.

Aha! Aha!

Już wiel! Jest w Łęgach... Rozśmiał się i zapalił papierosa.

To uwiodła go i spoiła ta polska czarownica! No! No! Szykowna panna!

Ale co powie gubernator, jak się dowie?... Duszę wykaszle ze złości!

Eh, jakoś mu się to tam przedstawi we właściwym świetle. Wielka rzecz! Pohulali! A robota — swoją drogą!

Tylko już nie dziś!

Dziś on tej roboty robić nie będzie! Za nic! Choćby miał napluć na karierę!

Jakaż ohydna jest ta krew ludzka!

Gołowinskij w tym momencie przeraził się prawdą.

Co to jest? Czy zadała mu co w tem winie?

Czort tu jakiś czary z nim stroił...

No, ale to nie na długo! Napewno wie, że nie na długo!

Dziś jednak nie będzie!...

Nie zmuszą go! Chce mu się odpocząć... Niech djabli wezmą wszystkich popów i wszystkich unitów razem!

Jaka ładna ta panna Grudzińska! Jaka powabna!

Jak ona te rączęta złożyła! Jak ona je złożyła przed nim! Ach, niepodobne do siebie są kobiety! Każda inna!

Gołowinskij przypomina żonę: chuda, żółta, zardzona, o rękach suchych, jak szpony...

Skończył papierosa i rzucił niedopałek na podłogę.

Głupia jest atmosfera takiego polskiego dworu! Ruski człowiek zatracca tu siebie! Trzeba uciekać!

Jeszcze przypominać zaczął ostatnie chwile przytomności; — grał... wtem zgasło światło i... co potem? co... potem?... nic...

O czarownica!

Coś było w tem winie!..

A tak słodko czuć ją blisko, przy sobie...

Dość!

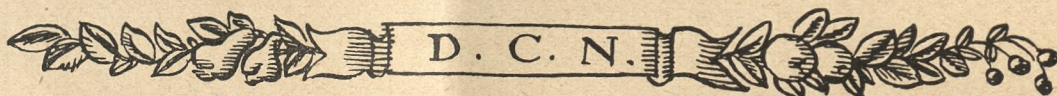
Gołowinskij zerwał się. Pobudził towarzyszków, służbę, kazał ściągnąć rozkwaterowanych we wsi kozaków i, zaleciwszy cichość jaknajwiększą, wyniósł się z całym sztabem swoim, z policją, z wojskiem.

Wies odetchnęła.

Gdy w kilka godzin później panna Leokadja zbudziła się, z oczami, zapuchniętymi od płaczu przez sen, dzień już był biały. W pokoju nikogo... Justysia, która tu spała, wyszła widać...

Zawisł nad nią, jak straszne widmo, dzień dzisiejszy. Co będzie?

Zdenerwowana tą myślą, zadzwoniła gwałtownie. Wbiegła Justynka.



GUSTAW KALEŃSKI

KOBIETY - ŻOŁNIERZE W POWSTANIU STYCZNIOWEM

Wiemy dużo o kobietach, pełniących służbę pomocniczą w powstaniu r. 1863: o kobietach, co szyły bieliznę i mundury, haftowały sztandary, skubały szarpię, robiły ładunki, dostarczały żywność do obozów powstańczych, przewoziły broń i rozkazy władz narodowych, z narażeniem życia opatrywały rannych na pobojuwiskach, a później pielęgnowały w lazaretach. Natomiast nic prawie nie wiemy o kobietach-żołnierzach powstania styczniowego.

Powstanie to nie miało, co prawda, żadnego dowódcy-kobiety, nie miało swojej Emilji Plater.

Oficer-kobieta był jeden tylko: Anna Pustowojtow, znana powszechnie pod imieniem Henryki, z nazwiskiem o spolszczonem brzmieniu: Pustowójtówna. Prawosławna, z pochodzenia napół Rosjanka, córka Polki i generała Rosjanina. Rozgłosem swego imienia zaćmiła ona wszystkie towarzyszek broni. Już w r. 1861 bierze bardzo czynny udział w manifestacjach patriotycznych. Na początku powstania (miała wtedy 25 lat) przywdziewa strój męski i walczy, pod pseudonimem Michałka, najpierw w oddziale Czachowskiego, później przy boku dyktatora Langiewicza, jako jego adjutant. Wyróżnia się wielkiem męstwem w bitwach. Odznacza się szczególnie dn. 24 lutego pod Małogoszczą, gdzie zagrzewa do walki własnym przykładem. Ujęta wraz z Langiewiczem dn. 19 marca przy przejściu granicy galicyjskiej, zo-

staje internowana przez Austriaków. Po zwolnieniu wyjeżdża do Paryża i trudni się wyrobem sztucznych kwiatów, potem daniem lekcji muzyki. Około r. 1870 wychodzi za mąż za doktora Löwenhardta i jest matką czworga dzieci. Umarła w r. 1881 w Paryżu.

Reszta kobiet walczących — to szeregowcy. Skąpe bardzo mamy o nich wiadomości.

Głośniejsze od innych o Zofji ze Sztencłów Dobronokowej, która poległa dn. 24 lutego w krwawym boju pod Małogoszczą, przeszyta ośmioma kulami, jak mówi historyk „walcząc do ostatka”.¹⁾

Tegoż dnia pod Dobrą (niedaleko Łodzi) poniósł klęskę oddział Dworzaczka. Poległo około 60-ciu powstańców, a pomiędzy nimi aż trzy kobiety: Weronika Wojciechowska, panna, lat 19, służąca w Byszewach, Antonina Wilczyńska, panna, lat 20, służąca w Łodzi, wreszcie Marja z Rogolińskich Piotrowiczowa, lat 24, żona Konstantego, nauczyciela szkoły elementarnej. „Pomiędzy lasem i wsią opada ich kilku (kozaków) bohaterkę dnia tego Piotrowiczową, lecz ta broni się mężnie, nie chcąc się poddać, ubija strzałem kozaka, rani drugiego i trzeciemu konia, padając pod ciosami carskich siepaczy” — tak opisuje śmierć

¹⁾ Zieliński. Bitwy i potyczki 1863 — 1864. Rapperswil: 1913. str. 162.

Piotrowiczowej w swoim pamiętniku (rękopis—Archiwum Miejskie we Lwowie) Józef Zajączkowski, naczelnik narodowy m. Łodzi. Mąż, ciężko ranny w tej samej walce, w tydzień później zakończył życie.

W partii Czachowskiego, w 5 kompanii II bataljonu pod dowództwem majora Dąbcańskiego służyła, jako szeregowiec, mężatka lat 21, Apolonja z Grzywińskich Fijałkowska. Biła się dn. 20 marca pod Potokiem i nad Tanwią, a 21 marca — pod Hutą Krzeszowską.²⁾

Pod Radoszewicami w Kaliskiem dn. 27 marca stoczył zwycięską potyczkę Cieszkowski. „Odwagę w czasie boju — podaje pismo współczesne — odznaczyć się miała p. N. [iemojowska], porwawszy sztandar, z którym padł śmiertelnie ugodzony kosynier”.³⁾

W tej samej ponoć potyczce dostała się do niewoli rosyjskiej Rozalja Kamińska, „diewica” (panna), córka mieszczanina z Warszawy, otrzymawszy powierzchowną ranę postrzałową w lewą część ciemienia. Na miejscu opatrzył ją felczer Biełozierskiego pułku piechoty, później przebywała w szpitalu pułkowym.⁴⁾

Dn. 24 marca, podczas zaciętej walki pod Krasnobrodem (powiatu zamojskiego), którą stoczył pułkownik Lelewel (Borelowski), wpadła w ręce Rosjan Julja Orzechowska, panna, córka szlachcica powiatu krasnostawskiego. Odniosła ona nieznaczne rany kłute w piersi i w średni palec prawej ręki. Umieszczono ją w zamojskim szpitalu wojskowym.⁵⁾

Panna Julja Preibiszówna z Poznania walczyła pod Koziołkiem (niedaleko Sierpca) dn. 16 kwietnia w oddziale Jurkowskiego, jako jego adjutant. Potyczka zakończyła się porażką powstańców, wszelako pannie Julji udało się wraz z dowódcą uniknąć niewoli, uchodząc za granicę.⁶⁾

Pułkownik Traugutt (późniejszy dyktator) bił się dn. 25 maja pod Horkami (Grodzieńskie). Oddział jego został rozproszony. Na placu boju legło kilkunastu powstańców, a pomiędzy nimi pani Wołkowowa (Polka, żona Rosjanina).⁷⁾

W dniu 28 lipca pod Rudnikami (powiatu kieleckiego) walczył Zygmunt Chmieleński. Po pierwszych utarczkach dowódca skierował był furgony swego oddziału w głąb lasu pod osłoną 5-ciu żołnierzy „z dzielnym Karolkiem — pisze historyk — kobietą, przebraną po męsku, na czele”. Wysłany na rekonesans w kilkanaście koni Krzywda, w drodze powrotnej ocalił tabor, no i Karolka, ściągnawszy na siebie Rosjan, którzy zbliżali się już do furgonów. Kim był Karolek, jakie nosił nazwisko, jakie były jego dalsze losy — niewiadomo⁸⁾.

Mniej szczęśliwą była panna Biłkówna, która służyła, jako szeregowiec, w kawalerji: ranna, dostała się do niewoli w potyczce, którą stoczył Chmieleński dn. 23 września pod Warzynem (niedaleko Jędrzejowa); po wyleczeniu zesłano ją, podobno, na Sybir.⁹⁾

Jeszcze przykrzejszy los groził Marji Mazankównie. Ranna, dostała się również do niewoli do rąk ks. Szachowskoja d. 15 września „w lesie częstochowskim” (tak podają akta — miejsca potyczki ustalić nie można), a leczono ją w Proszowicach. Generał Roznow, szef kancelarji Namiestnika do spraw stanu wojennego, zalecił ks. Szachowskiemu ukarać Mazankównę po wyzdrowieniu chłostą, jeżeli nie jest szlachcianką. Jak postąpił książę, o którym wiemy skądinąd, że był człowiekiem ludzkim i szlachetnym — akta milczą.¹⁰⁾

Stanisława Zielińska była internowana przez Austriaków w Ołomuńcu. Zbiegła d. 3 lipca. Wysłano za nią list gończy, z którego wynika, że brała udział w powstaniu z bronią w ręku, nosiła ubranie męskie, miała lat 20, była szwaczką, pochodziła z Warszawy. Rysopis: wzrost średni, twarz szeroka, blondyna, oczy niebieskawe.¹¹⁾

Oto garść wiadomości, napewno niekompletna, o udziale kobiet z bronią w ręku w powstaniu styczniowym. Widać z niej wszakże, że udział ten był znaczny i że biły się one mężnie: pięć z pomiędzy nich poległo, cztery, ranne, dostały się do niewoli. Wszystkie stany były przez nie reprezentowane: obok córki generała, córki szlachcica, żony ziemianina — widnieje córka mieszczanina, szwaczka, a nawet — służąca.

Dalsze badania archiwalne niewątpliwie dorzucą niejedno jeszcze nazwisko kobiety-żołnierza.

²⁾ Chołodecki. Pamiętnik powstania styczniowego. Lwów, 1913. str. 209.

³⁾ „Czas“, Nr. 76 z r. 1863.

⁴⁾ Akta sztabu wojsk rosyjskich w Król. Polskiem. Nr 74 Wykazy rannych, sporządzone przez sztab-lekarza. (Centralne Archiwum Wojskowe).

⁵⁾ Detto.

⁶⁾ Berg. Zapiski o powstaniu polskiem, Kraków, 1899, Tom III str. 75.

⁷⁾ Zieliński, str. 326.

⁸⁾ Zieliński, str. 174.

⁹⁾ Zieliński, str. 180.

¹⁰⁾ Akta kancelarji do spraw stanu wojennego Nr. 26. r. 1863. (Archiwum Akt Dawnych).

¹¹⁾ List gończy Namiestnictwa we Lwowie Nr 7893/Pr. z dn. 16/VII. 1863. Zbiory Leona Krzemienieckiego, stanowiące obecnie własność państwa.



Z MUZYKI STOŁECZNEJ

KONSERWATORJUM — STOWARZYSZENIE MUZYKI DAWNEJ — FILHARMONJA — OPERA



rzeciem — obok Filharmonji i Opery — głównem środowiskiem muzyki poważnej w Warszawie, i to zarówno jako uczelnia, jak jako miejsce publicznych produkcji muzycznych, jest, jak wiadomo, warszawskie państwowe Konserwatorium muzyczne. Pod dyktando Henryka Melcera podniosła się ta uczelnia na poziom niewątpliwie znacznie wyższy, aniżeli w czasach, poprzedzających erę Melcera, gdy to na czele tych wszystkich trzech „centrali” muzycznych stał jeden człowiek, monopolizując w ten sposób w swoich rękach wszystkie stanowiska kierownicze — ale z tego właśnie powodu ze szkodą i dla Konserwatorium, i dla Opery, i dla Filharmonji. Dopiero Melcer, objawszy kierownictwo Konserwatorium, rozpoczął tą ogromnie ważną placówką rzeczywiście sterować: z pomocą liczego i dobrego zespołu nauczycielskiego zorganizował naukę, położył nacisk na kształcenie w muzyce wszechstronne, na rozwijanie muzykalności ogólnej, na grę zespołową: powstały chóry, jak np. doskonały chór prof. Kazury, który zasilany jest przeważnie materiałem uczniowskim; powstały dwie uczniowskie orkiestry symfoniczne, czyniące stałe postępy (jedna pod bezpośrednią dyktando dyr. Melcera, druga pod dyktando prof. Singera); publiczne koncerty uczniów konserwatorium dają młodym adeptom sztuki muzycznej sposobność przyzwyczajania się do występów przed szerszą publicznością, a jednocześnie pozwalają szerokim kołom, z poza samej uczelni, ocenić postępy, rozwój uczelni. Ujemną stroną takich koncertów uczniowskich jest niewątpliwie wytrącanie ucznia, do pewnego stopnia, z równowagi systematycznego i wszechstronnego uczenia się; młody „koncertant” daje się opanować gorączce zdobycia oklasków, rozgłosu, dobrych recenzji; czas przygotowywania się do występu pociąga za sobą zacieśnienie horyzontu nauki, zaniedbanie wszystkiego innego poza ćwiczeniem utworów na popis. Ale zdaje się, że tym ujemnym stronom można przeciwdziałać i że dyktando o to się stara.

Koncerty uczniowskie wprowadziły w świat najświeższy narybek młodych talentów i indywidualności twórczych, po których spodziewamy się, że może rozwój muzyki polskiej pchnąć wreszcie na nowe tory i że go przyspieszą.

Z Konserwatorium warszawskiego wyszli w ostatnich latach: Perkowski, stypendysta w Paryżu, indywidualność niewątpliwa i silna, jakkolwiek jeszcze szukająca swojej drogi własnej, a zapatrzona narazie już w Szymanowskiego, już też w Debussy’ego i Ra-

vela; Kondracki i Maklakiewicz — obaj wybitne talenty kompozytorskie. Maklakiewicz z powodzeniem podejmuje się ilustracji muzycznych do dramatów, jak „Nieboska Komedja”, „Dzieje Grzechu” (w Teatrze Polskim).

Konserwatorium, jako uczelnia, jest więc w pełni bardzo dodatniego rozwoju. Tem dziwniejszy i tem mniej wytłumaczalny staje się wobec tego zatarg, jaki w ostatnich tygodniach powstał pomiędzy całym kierownictwem Konserwatorium (dyktando i radą pedagogiczną, działającymi solidarnie), a t. zw. Departamentem Sztuki w Ministerstwie W. R. i O. P. „Departament Sztuki” uczuł nagle natarczywą, gwałtowną potrzebę i poczuł powołanie do wizytowania nauki w Konserwatorium. Nie — do kontroli gospodarki, nie — do naprawy, czy ulepszenia organizacji, ale do kontroli samej nauki muzyki. Zapewne pomyśli czytelnik, że zaszły jakieś przyczyny, poważnie podające w wątpliwość wartość tej nauki.

Otóż nie. Nic o czemś podobnem niewiadomo. Inicjatywę wizytacji spowodowała wyłącznie... papierowa zasada. Ministerjum jest od wizytowania, a więc trzeba wizytować Konserwatorium. Kierownictwo uczelni broni się przed tem — też z zasady: szkoły wyższe nie podlegają wizytowaniu; nikomu przecie nie wpadnie do głowy wizytować Uniwersytety, lub Akademje sztuk plastycznych. Sięgnięto do formalnych, prawnych podstaw instytucji i okazało się, że te są dość liche i niejasne. Na tem oto tle powstał konflikt, jak widzimy, zasadniczy. Konfliktów takich nie rozstrzyga się jednak siłą i nie wywołuje się wrzenia w poważnej instytucji naukowej, nie doprowadza się do dymisji całego Zarządu pedagogicznego takiej instytucji, dopóki się nie poprawiło, lub nie wyjaśniło podstaw jej organizacji, jej charakteru naukowego. A już przedewszystkiem trzeba mieć nie tylko formalne, urzędowe prawo, ale także moralną powagę dostateczną, trzeba samemu reprezentować odpowiednio wysoką wartość, gdy się chce zasłuzonej uczelni i zasłuzonym jej kierownikom narzucić swoją — kontrolę. „Departament sztuki”, rudymet dawnego Ministerjum sztuki i kultury, sam oddawna domagający się zasadniczej reorganizacji — niestety tej powagi w społeczeństwie nie posiada.

* * *

W sezonie bieżącym sala Konserwatorium, w której w latach ubiegłych odbywały się koncerty wszelkiego rodzaju i wszelkiej możliwej wartości, została wydzierżawiona jednemu przedsiębiorcy koncertowemu (p. Markiewiczowi). Jest to myśl zasadniczo słuszną,

albowiem tylko w ten sposób pstrokaciznę koncertów można sobie, przynajmniej w teorii, wyobrazić jako uporządkowaną wedle jakiejś, choćby najogólniejszej, myśli przewodniej, a w każdym razie wiadomo, kogo czynić odpowiedzialnym za wartość koncertów.

Tak oto tegoroczny organizator postanowił urządzić cykl koncertów „mistrzowskich”. Niezawsze, co prawda, określenie to pasuje ściśle do produkcji, które słyszymy, ale bądź co bądź, pozwalając na surowy sąd krytyczny, z drugiej strony obowiązuje do wysokiego poziomu zasadniczego. Na miano „mistrzowskich” zasłużyły sobie, w opinii wszystkich, przed wszystkimi innymi, koncerty dwojga artystów paryskich, istotnie mistrzów fortepianu: Roberta i Gaby Casadesus.

Rodzina Casadesus'ów posiada już swoje dobrze zapisane imię w dziejach współczesnej muzyki francuskiej. Jeden z Casadesus'ów przyczynił się, wraz z polką, Wandą Landowską, do rozpowszechnienia, kultu dla muzyki dawnej i muzyki komnatowej, będąc razem z Landowską jednym z filarów francuskiego Towarzystwa, zajmującego się krzewieniem tej mu-

zyki. Robert Casadesus, jestto konstytucja artystyczna tak wybitna i tak wszechstronna, że zasługuje na wzmiankę nawet w bardzo ogólnym rzucie oka na życie koncertowe stolicy. Człowiek młody — liczący zaledwie 27 lat — gra wszystko: od fugi Bacha począwszy, do utworów, będących ostatnim wyrazem muzyki dnia dzisiejszego. Sonata Mozarta, czy sonata Beethovena wychodzi z pod stalowych jego palców, równie świetnie, w całej okazałości swej klasycznej budowy formalnej i klasycznego stylu, — co 12 preludjów Debussy'ego, cudowny kwiat z niwy muzyki nastrojowej, wymagającej od wykonawcy mistrzowskiego opanowania ekspresji fortepianowej dla wyrażenia rzeczy niewypowiedziane subtelnych. Pani Gaby Casadesus jest małżonką Roberta i dała się słyszeć tylko jako jego towarzyszka na drugim fortepianie. Ale aby dojść do takiego stopnia zgody małżeńskiej — w muzyce, trzeba nie tylko mieć męża mistrza, ale samej być artystką niebyłąką.

Zarówno solowe występy Roberta Casadesus, jak jeden występ wspólny obojga — były to wieczory rozkoszne, jakich niewiele.

J. R.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

WSPOMNIENIE O REDAKTORCE „OGNISKA“

(Z POWODU ZGONU MARJI SZELIGI)

Odeszła na wieczny spoczynek jedna z tych kobiet, których imiona są hasłami. Na obczyźnie, w Paryżu, od dziesiątków lat kraju nie oglądając, zgasła przeszło 70-cio letnia Marja Szeliga.

Koło nazwiska tego — pseudonim arystokratycznie utytułowanej panny — głośno było ongiś w Polsce, za czasów, które mało już pamięta dzisiejsze pokolenie. Młoda emancypantka, radykalna, zuchwała bojownica postępu, wcześniej zmuszona do schronienia się zagranicę, przez długie później lata była dziennikarką francuską współpracowniczką pism obcych. Lecz świt odzyskania niepodległości Polski powołał ją do nowej działalności. Marja Szeliga, poświęcając swój skromny majątek, zakłada pismo dla wychodźców polskich we Francji.

I tak śmierć zastała ją niemal przy warsztacie pracy, który stał się najdroższym celem wysiłków lat jej ostatnich. „Ognisko” — to był nie tylko tygodnik, ale biuro wszelkiej pomocy, rady i obrony dla polskiego robotnika na obczyźnie. Ile trudu, ile uporczy-

wości moralnej i ofiar materialnych redaktorki „Ogniska” poszło na rzecz biednego ludu, który co niedzielę zwłaszcza schodził się w redakcji — lub słał setkami listy błagalne o ochronę przed wyzyskiem pracodawców, o książkę polską, o pomoc prawną, o odwiedzinę w szpitalu, o wszelkie wskazówki, jakich potrzebować może naiwny, a niezaradny nasz wychodźca! Marja Szeliga była opatrnością Legionu najbiedniejszych rodaków, — organizowała dla nich obrońców w sądach, zapewniała opiekę chorym, matkom i dzieciom; wyszukiwała pracę, uczyła oszczędności, dostarczała lektury polskiej...

A na szpaltach swego „Ogniska” nawoływała do patriotyzmu do niezapominania o Polsce i honorze polaka, informowała, radziła, ubolewała nad troskami wychodźstwa, broniła jego interesów i gromiła jego wady. Swem pismem, prostem i naiwnem w tonie, umiała utrzymać kontakt zaufania między sobą, a czytelnikami. Umiała poruszyć wszelkie sprężyny swych wpływów i stosunków wśród polskiej kolonii w Pa-

ryżu, oraz władz francuskich, jeśli szło o dobro, lub naprawienie krzywdy jednego z maluczkich jej ludu...

Wszystko to czyniła, będąc chorą obłożnie na serce od lat kilku... Współpracownikami najbliższymi i oddanymi, była wychowanka jej, adwokatka p. Ewa Midani i młody, srodze zapracowany, sekretarz redakcji.

Marja Szeliga miała wysokie pojęcie o swem posłannictwie. Czuła się przedstawicielką szarych rzesz polskich, i w rzeczywistości nieoficjalna ambasada robotnika — wychodźcy mieściła się w cichym zakątku paryskim — w XVII „arrondissement“, 5-ta rue Emile Allez.

* * *

Małeńki ogródek przed oknami; sztachetki i mury, gęsto bluszczem zarosłe, jak to na wielu domach odleglejszych dzielnic paryskich się widzi, doznając miłego wrażenia małomiejskiej zaciszości. To tu! Na parterze, na lewo, redakcja „Ogniska“ — dwa małe pokoiki i za nimi drukarnia ręczna. Na prawo z sieni: mieszkanie redaktorki.

Dwa lata minęły, gdy będąc w Paryżu, zapragnęłam zapoznać się z działalnością tej wyjątkowej instytucji „Ogniska“. Pani Szeliga przyjęła mnie wówczas bardzo serdecznie i parokrotnie ze mną rozmawiała, co było, podobno, dość niezwykle, gdyż wizyty z kraju stale odprowadzała z niczem. Sama jednak oświadczyła mi, że w tym wypadku robi wyjątek dla — młodszej koleżanki.

* * *

Zawsze myślę o tem, jak patrzą na nas kobiety starszego pokolenia, te, które bojowały o to, aby nam wolno było studjować na uniwersytetach i mieć prawa obywatelskie, dostęp wolny do życia społecznego i stanowisk publicznych. Czy nie patrzą na nas z uczuciem pewnego zawodu, że nie spełniłyśmy, lub nie spełniamy ich tak bardzo idealnych i bezinteresownych dążeń? Że idziemy drogą mniej wzniosłą, niż one rysowały ją sobie przed oczyma? Nie wiem — być może. W każdym razie zetknięcie się z pionierkami równouprawnienia, stawiając wobec siebie dwa, tak bardzo różne, pokolenia kobiet, zawsze budziło we mnie jakąś wzruszającą obawę, by nie poczuły one — te szanowne, a nieraz zdziwaczałe i przykre staruszki — jak bardzo dziś dalekie od nich jesteśmy, jakkolwiek wyrosłyśmy na ich poświęceniu i dzięki ich bolesnej walce.

Ale jeśli z podobnem uczuciem weszłam do mrocznego nieco pokoju, w którym mieszkała pani Szeliga — to stamtąd wyszło naprzeciw mnie drugie wzruszenie,

jej własne — zapewne osnute na wspomnieniach tych lat, kiedy podobnie, jak dziś jej „młodsza koleżanka“, rozpoczynała piękną i bojową karierę dziennikarską... Dość, że we wzruszeniu tem odrazu stopiło się wszystko niepowiedziane i nieznane między dwoma pokoleniami, i parę godzin minęło potem na serdecznej rozmowie. Oczywiście o stosunkach w kraju, o sejmie, o szkolnictwie, o sprawach społecznych, o wychodźstwie, które było wówczas w pełni rozwoju i dobrych konjunktur we Francji. Podziwiałam, jak mimo odosobnienia swego, pani Szeliga żywo orjentowała się w zagadnieniach kraju. Nie umiałabym, oczywiście, po tej rozmowie określić jej poglądów na szereg kwestyj, lecz niewątpliwe było jej entuzjastyczne uznanie dla Józefa Piłsudskiego i wiara w jego dalsze czyny. Na tej linii utrzymała pani Szeliga pismo swe do dni ostatnich.

Mało kto w Polsce zna „Ognisko“ emigracyjne, na którem widnieje, śmieszny dla dzisiejszego czytelnika gazet, napis: „Uczciwe pismo, dla uczciwych ludzi“.

— Niech mi pani wierzy — mówiła pani Szeliga — że nie ja wymyśliłam to godło dla pisma. To czytelnicy sami dopominali się, aby w ten sposób wyróżnić „Ognisko“ od innych gazetek partyjnych z ich hasłami. Na takie prośby musiałam zgodzić się i przyjąć ten napis... Różne są krytyki, co do sposobu, w jaki prowadzę „Ognisko“, lecz ja wiem swoje — ja znam swój lud! Znałam dobrze polskiego chłopca za dawnych lat, a lud nie zmienia się tak szybko. Znam swój lud i wiem, czego potrzebuje — z wiarą i upartem przeświadczeniem padały słowa.

Zapamiętałam nazawsze osobliwy obraz pokoju na rue Emile Allez. Przedemną biała twarz, niegdyś zapewne ładna, i jasne, charakterystycznie zmrużone oczy krótkowidza za szklami, miały jakąś patetyczną wyrazistość. Jakżeż kontrastowała słabość fizyczna 70-cio letniej osoby, przykutej do poduszek, z mocą jej ducha! Mimowoli i otoczenie nasuwało refleksje niewspółmierne. Jedyny na ścianie portret pięknego, młodego mężczyzny, o twarzy apostoła — jedyny ślad niezagasłej urody życia. Skromny, ubogi pokój, w którym lokatorami było kikanasie, czy bodaj więcej, kotów-znajdów, najprzeróżniejszych ofiar losu, ślepych, kulawych, burych, czarnych i rudych, gospodarzących wśród mebli, skaczących i wylegujących się dowoli na szafach i fotelach — mówił o tem, co minęło i czego się tu wyzbyto... Pozostało tylko chore serce siłaczki, pracującej dla swego ludu aż do śmierci.

Wiedziała, że ziemi Odrodzonej nie zobaczy już i mówiła o tem z melancholijnym spokojem. Ale wśród rodaków na tułaczce dusza [jej była im Ojczyzną.



Kobieta w świecie i w domu

MLEKO ZAMIAST ALKOHOLU

„Die Frau im Staat“ podaje ciekawą statystykę urzędu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych, z której wynika, że od czasu wprowadzenia w tym kraju prohibicji alkoholowej, ilość spożywanego mleka i owoców znacznie wzrosła. Amerykanie podobno spożywają owoców najwięcej ze wszystkich narodów na świecie, od czasu jednak wprowadzenia ustawy prohibicyjnej, konsumpcja owoców wzrosła dwukrotnie. Zawdzięczać to należy w znacznej mierze fabrykom limonjad owocowych, które produkują teraz masowo najrozmaitsze napoje musujące, zamiast dawnych win i wódek. Właściciele winnic zato znaleźli się, wskutek prohibicji, w kompletnej ruinie.

Konsumpcja mleka w przeciągu tych czterech lat, które upłynęły od czasu wprowadzenia w życie ustawy prohibicyjnej, wzrosła o 30% i stale wzrasta z każdym rokiem. Dodać należy, że cyfry te nie stoją w żadnym związku z przyrostem ludności, który zwiększył się w przeciągu tych czterech lat zaledwie o 8%.

I jeszcze jedno zjawisko bardzo ciekawe: prohibicja wpłynęła także na wzrost czytelnictwa! Ruch księgarski wzmógł się znacznie, tak że np. firmy księgarskie w Chicago notowały w ubiegłym roku ogólny obrót o 15% większy, niż w najruchliwszych i najbardziej pomyślnych miesiącach lat poprzednich.

BIURO DLA SPRAW SŁUŻBY DOMOWEJ

W Berlinie ma podobno powstać w najbliższym czasie magistrackie biuro dla rozstrzygania wszystkich nieporozumień, jakie wyniknąć mogą pomiędzy służbą, a pracodawcami. W razie jakiego zatargu obie strony będą miały obowiązek przedłożyć urzędnikowi tego biura swoje zażalenie, i, o ile polubowne rostrzygnięcie tej sprawy okaże się niemożliwym, obie strony będą musiały uznać za decydujące orzeczenie urzędnika. W ten sposób berlińskie władze miejskie mają nadzieję zapobiec nieustannym i bardzo ostrym konfliktom, jakie wybuchają wciąż pomiędzy niemiecką służbą domową i jej pracodawczyniami.

LEKARKA CZESKA W BAGDADZIE

Dowiadujemy się z czeskiego pisma kobiecego „Zvestovani“ o założeniu przez lekarkę czeską, Dr. Vlastę Kalalównę, sanatorium w Bagdadzie. Dr. Kalalówna jest córką znanego czeskiego pisarza J. Kalala, autora wielu dzieł popularno-naukowych. Po ukończeniu studjów uniwersyteckich w kraju rodzinnym, młoda lekarka postanowiła poświęcić się studjowaniu chorób zakaźnych, właściwych klimatom gorącym, dla-

tego też przebywa obecnie w Bagdadzie, niosąc pomoc tamtejszej ludności i ciesząc się wielkiem uznaniem wśród swych pacjentów. Oprócz wyżej wymienionej swej specjalności, Dr. Kalalówna jest podobno doskonałym chirurgiem.

KATEDRA DIETETYKI

Uniwersytet londyński otrzymał dar dziesięciu tysięcy funtów szterlingów, przeznaczony na ufundowanie katedry nauk dietetycznych (nauka o racjonalnem odżywianiu). Hojny ten zapis złożyła pewna ofiarodawczyni, która nie pozwoliła narazie na ujawnienie swego nazwiska. Władze uniwersyteckie poszukują obecnie specjalisty dla objęcia tej katedry, co nie jest podobno wcale tak łatwem, gdyż dietetyka jest nauką bardzo mało znaną i znajdującą się jeszcze w stadium początkowem.

EGZAMINY NA PILOTA

Pisma angielskie donoszą o pomyślnym wyniku egzaminów lotniczych, jakim poddała się pierwsza kobieta w Anglii, pani Elliott Lynn. Zdawała ona egzamin na pilota klasy B, (czyli kierowcę statków powietrznych pasażerskich). Egzamin ten jest niezwykle trudny i wymaga niezmiernie wielu warunków, pomiędzy którymi siły i wytrzymałość fizyczna odegrywa rolę bardzo ważną. Poddający się temu egzaminowi pilot spędzić musi kilka godzin na oględzinach specjalnej komisji lekarskiej, bada go po kolei każdy lekarz specjalista i orzeka o normalnem funkcjonowaniu i wytrzymałości płuc, serca, wzroku etc.

Badania te graniczą niemal z torturami, egzaminowany bowiem musi naprzykład stać przez długi czas na jednej nodze, zatrzymywać oddech przez czas możliwie najdłuższy, wykonywać cały szereg bardzo skomplikowanych i trudnych ruchów i t. d. Cały ten niezmiernie uciążliwy egzamin zdała pani Elliott Lynn doskonale, uzyskując 44 punkty (maximum punktów równa się 50). Na skutek tak pomyślnego wyniku egzaminacyjnego angielskie Ministerjum Lotnictwa zamierza podobno udostępnić w najbliższym czasie zawód lotniczy wszystkim kobietom, które zechcą go sobie obrać jako karierę życiową.

MAŁŻEŃSTWA W ŚWIECIE SPORTOWYM

Kronika życia sportowego w Anglii notuje dwa fakty ostatnio zawartych małżeństw wśród zawodowców lekkoatletycznych. Panna Muriel Gunn, rekordzistka najdłuższego skoku, poślubiła pana Stanleya Cornell'a, założyciela klubu lekkoatletycznego w Mitcham. Brat tej słynnej championki, Norman, także wybitny sportowiec, zaręczył się z panną Dorotą Procter, którą poznał na ostatnich igrzyskach olimpijskich w Szwecji i tak się zachwycił jej zręcznością i siłą, że odrazu powiedział sobie: Ta, albo żadna! Nieprzyjacielem sportu kobiecego nie będą więc mogli teraz zarzucać temu szlachetnemu zajęciu, iż odbiera ono młodym dziewczętom wdzięk kobiecości i stoi na przeszkodzie do założenia ogniska domowego!

Z. B.

KSIĄŻKI, NADESŁANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWO GWIAZDKOWE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY BIBLIOTEKA POLSKA

Bohuszewiczówna — W świecie owadów,
Bukowiecka — Krótka Historia Polski w opowiadaniach
starego powstańca.
Duninówna — Na obczyźnie.
France — Nasze dzieci.
Knoll-Wittigowa — Tajemnice Krystyny.
Ligocki — Historia o panu Bazylim.
Makuszyński-Srus — Wesoły Zwierzyniec.
Pokrzywnicka — A. B. C.
Pokrzywnicka — Makuszyński — Moje zabawki.
Porazińska — Moja Wółka.
Sikorska — Ania i jej przyjaciele.
Sobańska — O małej Marcysi i o gwiazdkach z nieba.
Skąd krasnoludki dostały swoje kapturki?
Stębowska — Bajki.
Szczęsny — Baśnie wiosenne.

KSIEGARNIA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

Rogoszówna — Wesoły Ludek.
St. Zweig — „Jeremiasz”. — Tow. Wydawn. Hoesick

GEBETHNER I WOLFF

Charles Kingsley — Heroje — Klechdy Greckie w przekładzie
W. Berenta.

WYDAWNICTWO GAZETY POLICYJNEJ „NA POSTERUNKU”

Hertz-Mackiewicz — „Przyjaciel dzieci”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Z cyklu: Dobre książki dla młodzieży.
Zofia Żurakowska — Trzy srebrne ptaki.
Janusz Korczak — Feralny Tydzień.
Marja Dąbrowska — Marcin Kozera.
Z cyklu: Biblioteka Beletystyczna
Z. R. Nałkowska — Lodowe pola.
M. Kuncewiczowa — Przymierze z dzieckiem.
M. Siedlecki — Opowieści Malajskie.

TOW. WYDAWNICZE M. ARCT

Or-Ot — O Jasiu Sowizdrzale.
M. Dynowska — W Betleemskiej Szopce.
M. Bujno-Arct — Słoneczko.
Grabowski — Jagusia Machajówna.
Dąbrowska-Gerson — Choinka Polska.
Kraszewski — Bajbuza.

BIBLIOTEKA „ISKIER”

Pisuliński — Szlakiem słonia afrykańskiego
Walter Scott — Kwintyn Durward.
G. Erpianis — Jędraszek w samochodzie.



Jerzy B. Rychliński: „Mah-Jong”, nowele, nakładem
Gebethnera i Wolffa.

Myliłby się, kto, czytając fascynujące nowele Rychlińskiego, poprzestałby na określeniu ich mianem fantazmów, czy też obrazów hypnagogicznych z pogranicza snu i jawy. Byłby to sąd powierzchowny, a więc — krzywdzący. Bez wątpienia, „Mah-Jong” to fantasmoskop, zwierciadło czarodziejskie, ale takie, że odbija rze-

czywiste, intymne poruszenia duszy ludzkiej. Innymi słowy, Rychliński stworzył tu dla pewnych, bardzo subtelnych, stanów uczuciowych, obrazowe i myślowe odpowiedniki, zdolne obudzić w czytelniku intensywną grę uśpionych na dnie jego świadomości najtajniejszych, najczarowniejszych przeżyć. Oddając się doznawaniu tych, jak duchy na seansie wywołanych, somnambulicznych, haszyszowych oszołomień, odnajdujemy w nich te z naszych własnych przeżyć, co jak ręką niebaćną pozrywane kwiaty, wędrowną i niszczącą milczącą w cieniu naszego „przytomnego” życia na jawie. Odnajdujemy je tu, techną czarem i siłą. Więcej nawet: niektóre momenty oryginalnych utworów Rychlińskiego stają się nam bliskie. Przeżywamy w nich to, co francuzi nazywają „le sentiment de déjà vu”. Należy to podkreślić, że wyobraźnię autora „Mah-Jonga” cechuje duża plastyka. Dotyczy to utworów zarówno utrzymanych z psychologicznego punktu widzenia w tonie „clair-obscur” („Błękitne dziwo” i „Mewi dwór”), jak również i tych, gdzie autor daje nam jakby katarsis mrocznego świata namiętności („Lunatyczna krew”) I to i tamto posiada swą odrębną siłę wyrazu i artyzm. I jest w tem wszystkim jeszcze jedno: ukochanie jakoweś. Jakie? Jeżeli uprzytomnimy sobie, że istnieje biedne, nieporadne ukochanie rzeczy, gdy istoty ich ani pojąć, ani ogarnąć nie można, to uczucie, nurtujące autora „Mah-Jonga” odnajdziemy na przeciwnym biegunie: Rychliński kocha to, co dostrzega pod powierzchnią zjawisk, w głębinach, których tajemnice zdradza mu nie „prawdziwa sól morska, dodana do opium” lecz jego własny talent.

L. A.



„Teatr Mały” wznowił, grana przed niespełna dwoma laty, „Niewinną grzesznicę” Wacława Grubińskiego. Komedja ta, oparta tylko na dialogu, (którym po mistrzowski włada Grubiński), jest dysputą na temat miłości. Któryś z krytyków nazwał ją swego czasu kwartetem — i rzeczywiście ze wszystkich form muzycznych najbardziej przypomina ona kwartet. Pierwsze skrzypce prowadzi pani Przybyłko-Potocka. Wtórą jej, a i dopełniają poniekąd „kochanek od serca”, młodzieńcy Stefan (pan Węgierko). Rola przypadkowego kochanka po Leszczyńskim przypadła panu Wesołowskiemu; mężem idealnym, bo wyrozumiałym i lojalnym jest pan Stanisławski. W interpretacji tej doskonale zgranej czwórki słowa i myśli autora nabrały pełnej swojej wartości. A pamiętajmy, że Grubiński jest pisarzem, który umie powiedzieć to, co ma do powiedzenia, w sposób czarujący i zarazem bardzo trzeźwy. („Niewinna grzesznica” grana jest obecnie w teatrze Mathurin w Paryżu).

* * *

Teatr Letni coraz częściej zwraca się do amerykańskiego źródła twórczości komedjowej. Najbliższą premierą ma być zdanie komiczne, opisane przez panów Roi Cooper Megrul i Waltera Hocketta. Bohaterem, oczywiście, jest Imię Pan Dolar, a bohaterką — tym razem — pani Reklama. Na jej cześć sztuka nosi tytuł „Potęga Reklamy”. Ona to z biednego chłopca robi milionera. Dzieje się to przy pomocy Bluffu i Sprytu, ale czyż nie są to najczęstszy sprzymierzeńcy powodzenia?... „Potęga Reklamy” grana jest podobno w całym Stanach Zjednoczonych i od kilku lat nie schodzi z afiszów teatrów londyńskich. Publiczności polskiej przedstawi ją pan Chaberski.

* * *

Teatr Narodowy przygotowuje „Szkołę żon” Moliera i „Zbójców Schillera. Termin premiery nieustalony, gdyż komedja Perzyskiego okazała się prawdziwym Uśmiechem Losu dla Teatru Narodowego. Jednak około 20 b. m. obiecuje nam dyrekcja „Zbójców” w pierwszorzędnej obsadzie: stary Moor — Chmieliński; Karol Moor — Węgrzyn; Franciszek Moor — Brydziński; Amelja — Jaroszeńska.

W „Szkołę żon”, która ma iść zaraz po „Zbójcach”, ujrzymy pp.: Ludwika Solskiego i Żabczyńskiego, oraz — po raz pierwszy w Warszawie — panią Zaklicką.

Z. P.

KIEDY ZACZEŁO SIĘ PANOWANIE SERWETKI, WIDELCA, JADALNI, POŃCZOCH, ZEGARKÓW, WACHLARZA I PUDRU



Serwetkę wiązano pod szyją...

Serwetka. Nie przypuszcza staranna pani domu, rzucając ostatnie spojrzenie znawcy na stół, nakryty cienkimi serwetkami, wkoło którego wkrótce zgromadzą się jej biesiadnicy, że zwyczaj używania serwet jest niedawny, chociaż podobno znany był w starożytności. Ojcowie nasi lubowali się w przepychu, lekceważąc komfort, a co najgorsza, czystość.

Serwetka, będąca początkowo tylko przywilejem dzieciństwa, przy stole dorosłych pojawia się dopiero we Francji za panowania Karola VII. Przedtem obcierano palce o obrus, albo poprostu o połę szytego złotem surduta. Serwetkę początkowo umieszczano na ramieniu, potem przerzucano przez lewą rękę, w końcu wiązano pod szyją. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wielką ukrochmaloną kryzę, która szyję otaczała, zrozumiemy, że była to operacja nielada, dzięki której powstało przysłowie, charakteryzujące trudności życiowe: „koniec z końcem związać”.

W XVI stuleciu używana jest tylko w dobrych towarzystwach, to też brak jej odczuwają jednostki o wyższej kulturze. Jeden z najwykwintniejszych ludzi ówczesnej epoki skarży się na małe rozpowszechnienie serwetki, uważając, że łatwiej obejść się bez obrusa, jak bez niej.

Za Ludwika XIII serwetka zyskuje ogólne obywatelstwo w domach mieszczańskich, wskutek czego przesadzają się w jej składaniu, nadając jej różne malownicze kształty. W pierwszych latach panowania Ludwika XIV dzieło, pod tytułem: „27 sposobów składania serwet”, jest rozrywane, bo też znajdujemy w nim pomysły, mogące zadowolić najwyszukańsze gusta, jak składanie: w koguta, w zająca, w gołębia, siedzącego w koszyczku na jajach, podwójnego melona, w żółwia, w krzyż orderu Ś-go Ducha i tym podobne.

Widlec. Jako fakt znamienny, przytaczają, że Karol V-ty, który posiadał 150 misek i kubków złotych, więcej jak sto tuzinów półmisek srebrnych,

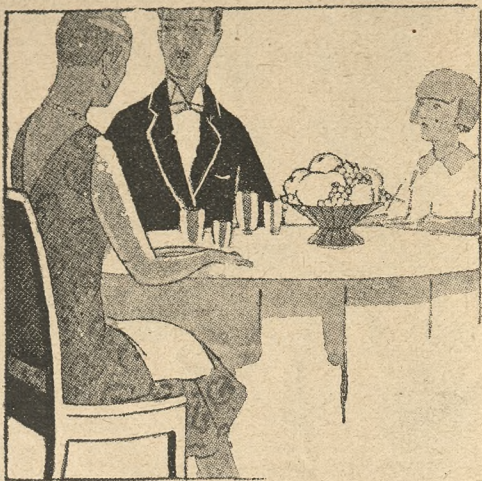


Mięso brano z półmiska trzema palcami..

miał tylko pół tuzina widelców. Jest to jeden jeszcze dowód, że przodkowie nasi, kochając się w zbytkach, gardzili wytwornością. Rujnowano się na wspaniałe złote i srebrne zastawy, jedna uczta składała się z trzydziestu, conajmniej, wyrafinowanych dań, które, ze wstydem przyznać trzeba, książęta i księżniczki — jadalni palcami. Wielcy panowie, pełnej przepychu epoki Odrodzenia, cali w aksamitach, jedwabiach i złocie, wybierali trzema palcami, tak jak tego ówczesne dobre ułożenie wymagało, ze złotego półmiska upatrzone kawałki, następnie dzielili je nożem na kęski i znów do ust palcami wkładali. Dopiero pod koniec XVI wieku widlec ukazuje się na dworze francuskim. Zabawnem jest, że wprowadzenie go wywołało ogólne zgorszenie i skandal. Zwyczaj używania widelca nazywano wyrafinowanym sybarytyzmem, a przywiązane do tradycji wysoko postawione osoby, surowych zasad, z oburzeniem potępiały tę inowację. Nawet Król-Słońce (Ludwik XIV) rzadko posługiwał się widelcem; St. Simon, w swoich ciekawych pamiątkach opowiada, że często przy stole król oddawał się nieprzyzwoitym żartom, które dziś nawet niewybredny człowiek uważałby, co najmniej za niewłaściwe. Ulubienica jego, pani de Montespan, przestrzegająca czystości w jedzeniu, król wysmiewał ją i kazał wkładać włosy w masło i torty.



Jedwabne pończochy uzbudzały zdumienie...



Jadalnia jest dorobkiem kultury nowoczesnej...

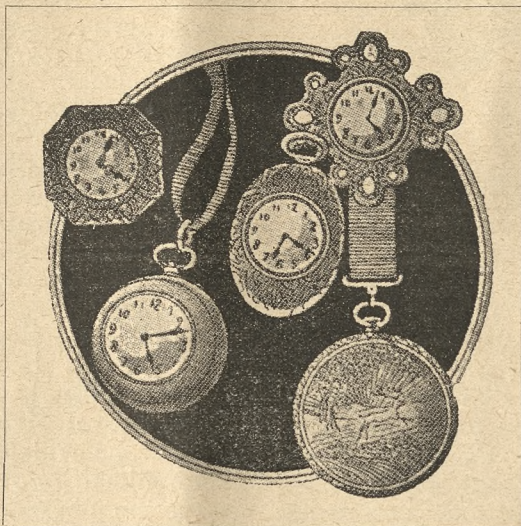
Widelec rozpowszechnił się w końcu XVIII stulecia. Jadalne pokoje są również dorobkiem kultury nowoczesnej. Najsłabszy dom w naszych czasach z trudem obchodzi się bez jadalni, a przy budowie, lub najmie mieszkania przede wszystkim zwraca się uwagę na jego obszar. Pokój stołowy, tak jak go dziś rozumiemy, przeznaczony jest do gromadzenia wokoło lampy wszystkich współmieszkańców, dawania miłych chwil wypoczynku i wspomnień, uczt wesołych, jednym słowem jest to ulubiony nasz kącik. Zaledwie w XVIII-tym wieku ludzie zaczynają to pojmować. Dawniej na codzien ustawiano przygodne stoły na kozłach w sypialniach, a w salonach — wraże uczty.

U drobnych mieszczan jadało przeważnie w kuchni. W Wersalu Ludwik XIV jadał w sypialnym pokoju, lub w przedsonku, i jeszcze za panowania Ludwika XV, kiedy bogate mieszczaństwo przeznacza najładniejszy pokój na jadalnię, król, królowa i rodzina królewska jadają co raz to w innym pokoju.

Pończochy pod dzisiejszą postacią zjawiają się zaledwie w końcu XVIII stulecia. Przedtem zastępowano je bandażami, na podobieństwo noszonych w starożytności przez patrycjuszki rzymskie, albo odziedziczonym z wieków średnich rodzajem nogawic, wykrojonych z ciągnącego się materiału. Wynalazek maszyny pończoszniczej zawdzięczamy anglikowi, nazwiskiem Wilhelm Lee, który, nie mogąc zyskać zaufania u swoich rodaków, zawezwany przez Henryka IV i jego ministra Sullego do Francji — udoskołał swój wynalazek w Rouen, gdzie zakłada pierwszą fabrykę pończoszniczą. Po jego śmierci, robotnicy z Rouen opuścili Francję wraz z maszynami, z zapalem powitani tym razem na ojczystej ziemi. I byłby przypadek bezpowrotnie dla Francji przemysł pończoszniczy, gdyby nie energia ówczesnego ministra finansów Colberta, który za wszelką cenę nakazał mechanikowi Janowi Hindzet sprowadzić rysunki tych maszyn. Zdobył je z narażeniem życia i założył w okolicach lasku Bulońskiego pierwszą fabrykę trykotarską

we Francji, obdarzoną przywilejem królewskim i noszącą znak lilii burbońskiej w godle. Początkowo wyrabiano tylko jedwabne pończochy. To zainteresowanie się króla przemysłem pończoszniczym dało powód do niejednej zabawnej awanturki małżeńskiej. Opowiadają np., że jedna z młodych pań, nie bacząc na cenę, kazała przysłać sobie 2 tuziny jedwabnych pończoszek. Przerazony wysokością rachunku, mąż zwrócił się z wymówką do lekkomyślnej żony — na co ona z oburzeniem odparła: „Jakto, zwyczajny śmiertelnik okazuje niezadowolenie, chociaż królowie zajmują się pończoszkami swoich poddanych? a Król-Słońce nie wahał się zostać fabrykantem poczoł!”

Przypuszczają, że pierwsze zegarki ukazały się we Francji za panowania Franciszka I-go. Ogromnych rozmiarów, prędzej zwać je można było przenośnymi zegarami, niżli zegarkami. Niektórzy badacze przypisują Niemcowi, Piotrowi Henlein, wynalazek zegarka o mniejszych rozmiarach, który zastąpił w osobistym użytku typ małych poziomych zegarów ściennych, stawianych na kominkach i biurkach, a znanych w XVI wieku pod nazwą zegarów stołowych. Zawieszone zapomocą kółka na łańcuchach, noszone były na szyi, jak wisiory.



Zegarki miały różne formy...

Nie słuszne jest to mniemanie, gdyż za życia Henleina w Niemczech, we Francji sprzedawano już ogromne cebule, przewyższające wartością i dokładnością wielkie zegary, fabrykowane w Norymberdze. Pierwsze zegarki francuskie wyszły z zakładów w Blois. — Do początków XVII wieku zegarki są rzadkością. Powoli rozpowszechniają się, a kształty ich, zmniejszając się stale, dochodzą do takich rozmiarów, że można je nosić w kieszeni. Nadają zegarkom rozmaite formy: krzyża, wgłębionego tulipana, podłużne, ośmiokątne i t. d., pokrywają je delikatnym cyzelowaniem. Kształt okrągły, spłaszczony zjawia się i ustala w końcu XVII wieku. W 1630 roku zro-

biony przez Jana Tontin wynalazek malowania na emalii, nadaje nowy kierunek zdobieniu zegarków. Artystyczny ten przemysł, w którym wspaniają się przede wszystkim



Włosy pudrowano wcześniej niż twarz...

bracia Huand, osiedla się w Genewie, gdzie stwarza cudne arcydzieła sztuki zegarmistrzowskiej. Rozpowszechnione dzisiaj zegarki - bransoletki są nowoczesnym pomysłem, natomiast wiek XVIII daje zachwycające pierścionki z zegareczkami. W tej samej epoce mężczyźni nosili 2 zegarki, ozdobione długimi łańcuszkami i drogiemi kamieniami — po jednym w każdej kieszonce od kamizelki. Zapytany przez jedną z pań o przyczynę takiej mody, jeden z kawalerów, znany z dworskości, odpowiedział: „Śpieszy się jeden, a spóźnia drugi. Gdy każą do Ciebie iść nieba — patrzę na pierwszy, a zaś na drugi, gdy żegnać Ciebie już trzeba“.

Pochodzenie wachlarza ginie w mrokach przeszłości. Podziwiamy w muzeum neapolitańskim sławne wazy etruskie, noszące datę piętego wieku przed Chrystusem, przyozdobione rysunkiem wachlarzy. Tylko, że wachlarz w starożytności był przedmiotem sztywnym, w formie ekranu, ozdobionego piórami z rączką z kości słoniowej, a pełen wdzięku, taki, jakim my go znamy, pojawia się dopiero w połowie XVII stulecia. Katarzyna Medycejska nosiła jeszcze sztywne wachlarze, kiedy na portretach Anny Austriaczki widzimy już składane. W końcu XVII wieku wachlarz nie tylko jest przedmiotem kokieterii, służy jeszcze do ochrony pięknej, wyróżnionej twarzy przed ostrymi promieniami słońca i zastępuje ciężki, niewygodny parasol. Śmieszne zdają nam się dzisiaj sztychy, na których widzimy księżniczki w myśliwskich strojach, z fuzją w jednej, a wachlarzem w drugiej ręce. Wszystkie wachlarze, jakie zachowaliśmy z XVIII wieku, z kości słoniowej, masy perłowej, szyldekretu, — w połączeniu z piórami, koronkami, lub jedwabiem, malowanym w tematy mitologiczne, noszą cechę doskonałości i subtelności sztuki.

Pudrowanie włosów datuje tak dawno, jak zalotność kobieca, ale moda pudrowania twarzy zapomocą sproszkowanego ryżu, krochmalu, mąki pszennej, albo mąki z fasoli, talku, lub bismutu, datuje od XVIII wieku. Pudrowanie włosów trwa od panowania Karola IX, pudrowanie twarzy jest przywilejem Regencji, kiedy puder był świadectwem elegancji i wysokiego pochodzenia. Ale tak, jak nie wszyscy, którzy nosili szpadę, byli szlachcicami, tak i dużo kobiet pudrowało się, nie należąc do arystokracji. Puder, zakazany podczas rewolucji, zdemokratyzował się obecnie całkowicie i wziął odwet zupełny.



Wachlarze XVIII w. noszą cechę sztuki...

PRACA SPORTOWA W HALACH GIMNASTYCZNYCH I W DOMU

Ćwiczenie 5. Skłon tułowia wprzód.

Postawa zasadnicza (na baczność). Ręce złożyć na biodrach. Na raz: skłonić tułów od bioder wprzód, nie zmieniając pozycji głowy. Na dwa: Prostować tułów w pion, zachowując w czasie prostowania taką pozycję głowy, aby tworzyła ona z tułowiem jedną linię.

Pamiętaj, przy wykonywaniu tego ćwiczenia, o prawidłowym trzymaniu głowy, zwrócić należy ponadto uwagę na szczegóły następujące: Nogi przez cały czas wykonywania ćwiczenia winny być proste w kolanach. Najłżejsze nawet zgięcie kolan odbiera ćwiczeniu temu dużą część jego wartości. Ponadto przy skłonie tułowia należy silnie odciągać wtył ramiona i łopatki, a to, aby utrzymać linię pleców prostą, nie dopuszczając do tego, aby ramiona opadły wprzód, i plecy się uwypukliły — Celem ćwiczenia tego jest zatrudnić mięśnie pleców.

Ćwiczenie to najłatwiej wykonać przy stopach całkowicie rozwartych. Przy złączonych piętach — wykonanie jest nieco trudniejsze, a najbardziej trudne — przy stopach całkowicie zwartych.

O ile ćwiczenie to dla ludzi młodych i szczupłych nie przedstawia żadnych niemal trudności, o tyle osoby starsze i otyłe wykonywać je będą początkowo z pewnym trudem. Plecy, na skutek oddawna przyjętej złej pozycji, nie tak łatwo przy skłonie pozbędą się charakterystycznej wypukłości. To też polecić należy niezbyt forsowne wykonywanie skłonów tułowia wprzód. Z początku wystarczą 3—4 skłony, wykonywane jaknajstaranniej i jaknajpoprawniej.

Przy skłonach tułowia wprzód regulujemy oddech w następujący sposób: stojąc na baczność, robimy wdech. Skłon tułowia wprzód i wydech.

Prostując tułów w pion — wdech. Wreszcie — po powrocie do pozycji zasadniczej — wydech.

Ćwiczenie 6. Skłon tułowia wtył. Celem tego ćwiczenia — praca mięśni brzucha.

Jedną z najczęściej spotykanych deformacji w budowie człowieka jest nadmiernie duży brzuch. I dziś jeszcze spotykamy ludzi, którzy pragną zwalczyć tę uporczywą otyłość drogą stosowania „głodówek“. Oczywiście, rezultaty tej metody są mocno wątpliwe. Dziś nie ulega wątpliwości, że najlepszym sposobem jest wyrabianie i wzmacnianie mięśni brzucha, drogą stosowania odpowiednich ćwiczeń gimnastycznych, jak np. nasze ćwiczenia 5 i 6.

Postawa zasadnicza. Stopy rozwarte w palcach i piętach. Ręce na biodrach.

Na raz: Skłonić tułów wtył od bioder.

Na dwa: Powrót do postawy zasadniczej.

W czasie skłonu tułowia nie należy zginać nóg w kolanach. Tak, jak poprzednie — i to ćwiczenie również nasuwa pewne trudności w wykonaniu dla osób otyłych. Przedstawia jednak ono dla osób tych niezaprzeczenie dużą wartość. Należy pamiętać, że nie można ćwiczenia tego, szczególnie początkowo, wykonywać nazbyt forsownie.

Regulowanie oddechu: wdech przy skłonie wtył, wydech przy prostowaniu tułowia.

Ćwiczenie 7. Skłony tułowia w bok.

Wspominaliśmy już, że naczelną zasadą systemu Linga jest zatrudnianie wszystkich mięśni ciała ludzkiego, celem jego harmonijnego rozwoju. Pod tym kątem widzenia ułożone zostały w kolejności ustalonej ćwiczenia, jego system tworzące. Ćwiczenie Nr. 7 ma na celu wyrobienie mięśni bocznych tułowia. Dlatego też po skłonach tułowia wprzód i wtył, mamy skłony tułowia w bok.

Ćwiczenie to składa się z czterech zasadniczych ruchów i wykonywane jest na 4 tempa.

Postawa zasadnicza, nogi w stopach lekko rozstawione. Ręce składamy na karku w sposób następujący: Zginamy ręce w łokciach i opieramy dłonie obu rąk, połączone palcami, na karku. Łokcie odciągać wtył. Plecy proste.

Na raz: Skłaniamy tułów wlewo.

Na dwa: Prostujemy tułów w pion.

Na trzy: Skłaniamy tułów wprawo.

Na cztery: Prostujemy w pion.

Regulowanie oddechu: wydech przy skłonie. Wdech przy prostowaniu tułowia.

Przy wykonywaniu tego ćwiczenia całą pracę wykonywa tułów. W żadnym razie dla ułatwienia nie należy zginać nóg w kolanach. Również ręce nie mogą zmieniać pozycji, wyżej opisanej.

Przy wykonywaniu ćwiczenia tego kierować się trzeba znowu—ogólną przesłanką Linga, która brzmi: zaczynać nieforsownie, nie przemęczyć się. Z biegiem czasu, w miarę nabywania wpraw, w miarę treningu—wykonywać można wskazane ćwiczenia forsowniej.

Należy pamiętać, że na każdym naszym „seansie” gimnastycznym nie wolno poprzestać na wykonywaniu jednego ćwiczenia. W ciągu 10—15 minut należy wykonać kilka ćwiczeń, przerabiając każde kilkakrotnie. Przytem—w myśl zasady Linga: zatrudniania wszystkich mięśni, co dzień wykonywać należy inną grupę ćwiczeń. Tym sposobem w ciągu paru dni przerobimy najważniejsze ćwiczenia systemu wielkiego szweda.

Ćwiczenie 8. Przysiady.

Ćwiczenie wykonywamy na 4 tempa—identycznie, jak w ćwiczeniu Nr. 2. Jedynie ręce składamy nie na biodrach, lecz na karku, w sposób, opisany przy ćwiczeniu Nr. 7.

Ćwiczenie 9. Skłon tułowia wtył.

Ćwiczenie to wykonać możemy dwoma sposobami, a mianowicie:

I. Stajemy w odległości 50 cmt. od ściany, lub drzwi, do których odwracamy się tyłem. Stojąc na całych stopach, podnosimy ręce w pion, poczem silnie skłaniamy tułów wtył tak, aby dotknąć rękami ściany, poczem opieramy się na niej rękami. Postawę tę zachowujemy przez dłuższą chwilę.

Początkujący popełniają przy ćwiczeniu tem następujący, niemal powszechny błąd. Pragnąc jaknajgłębiej skłonić tułów wtył, stają w dość dużej odległości od ściany, wskutek czego, nie posiadając dostatecznej giętkości, nie są w stanie wykonać poprawnie to ćwiczenie. Należy tu postępować racjonalnie: z początku wystarczy odsunąć się od ściany na 30 cm., potem dopiero, kiedy nabędziemy więcej giętkości,

kiedy wyrobimy odpowiednie grupy mięśni, odległość tę możemy stopniowo zwiększać, nawet poza wskazane wyżej 50 cm.

Aby ćwiczenie to spełniło swe zadanie, pilnie należy baczyć, aby ani kark, ani ramiona nie dotykały ściany. Tułów w skłonie wtył powinien wyglądać, jak napięty łuk.

Przy ćwiczeniu tem najlepiej trzymać stopy rozstawione w odległości mniej więcej 50 cm.

Drugi sposób wykonania tego ćwiczenia polega na tem, że po dokonaniu skłonu i oparciu rąk o ścianę w warunkach, jak wyżej, robimy jeszcze dodatkowo wspięcie na palcach nóg, co powoduje jeszcze silniejsze napięcie przednich mięśni tułowia.

W żadnym razie przy wykonywaniu opisywanego ćwiczenia nie należy zginać nóg w kolanach.

Ćwiczenie 10. Skłon tułowia wprzód—jest niezbędnym uzupełnieniem ćwiczenia 10-go i winno być zawsze przerabiane na tej samej lekcji, co ćwiczenie 10.

Postawa zasadnicza (na baczność). Ręce wyciągnięte w pion, dłonie do wewnątrz, palce razem połączone i wyciągnięte. Stopy rozstawione na odległość mniej więcej 50 cm.

Na raz: Skłon tułowia wprzód tak silny, aby wyciągnięte ręce palcami dotknęły ziemi.

Na dwa: Powrót do postawy zasadniczej.

Cała wartość ćwiczenia tego polega na tem, aby wykonywać je bez zginania nóg w kolanach, co wprawdzie daje ogromne ułatwienie w wykonaniu, ale też zarazem uniemożliwia osiągnięcie zamierzonego celu. Również—przy wykonywaniu tego ćwiczenia nie należy wspinać się na palcach nóg.

Ćwiczenie to jest dość trudne do wykonania i wymaga dłuższego treningu i dużej giętkości. Dlatego też Ling poleca ćwiczenie to wykonywać pod koniec zwykłej lekcji gimnastyki, a więc po dokonaniu szeregu ćwiczeń łatwiejszych.

Ćwiczenie 11. Podnoszenie nóg do przodu z jednoczesnym ługinaniem kolan.

Ćwiczenie to jest bardzo proste i posiada wartość podwójną: 1) jako ćwiczenie równowagi, oraz 2) rozwija pewne grupy mięśni u nóg.

Postawa zasadnicza (na baczność). Ręce na biodrach. Pięty połączone. Stopy w palcach lekko rozwarłe. Ćwiczenie to wykonywamy na 4 tempa.

Na raz: Unieść wprzód lewą nogę, zgiętą w kolanie pod kątem prostym. Udo winno być równoległe do ziemi. Stopa skierowana palcami do ziemi.

Na dwa: Uniesioną nogę wyprostować, starając się nie opuszczać jej ku dołowi.

Na trzy: Powrót do postawy „na raz”.

Na cztery: Powrót do postawy wstępnej.

Zmieniamy nogi i wykonujemy to samo ćwiczenie na prawą nogę.

Przy wykonywaniu ćwiczenia tego, należy pilnie uważać, aby nie zginać w kolanie tej nogi, na której stoimy. Nie pochylać tułowia ani do przodu, ani w tył. Głowa prosto. Łokcie do tyłu. Ciało nieruchome.

Przy pewnej wprawie zdołamy swobodnie i bez wysiłku stać na jednej nodze, utrzymując równowagę. (d. c. n.)

[K. M]



W OKRESIE BEZLISTNYM

Na drzewach rakowatych należy miejsca chore wyciąć ostrym nożem, aż do tkanki zdrowej i ranę zdezynfekować smołą, albo roztworem 2% siarczaniu miedzi, poczem ją zasmarować maścią, lub gliną z krowieńcem.

W okresie odwilży, gdy kora nasiąka wilgocią, trzeba pnie i grubsze konary skrobać, ażeby usunąć z ich powierzchni łuski starej kory, stanowiące schronienie dla owadów szkodliwych, gąsienic, larw i zarodników grzybków pasorzytnicznych. Ponieważ spadają one wraz z łuskami na ziemię, więc zaleca się albo naokoło pni rozścielać płachty, na których gromadziłyby się łuski zeskrobywane, albo udeptywać śnieg koło drzew i oskrobki z niego starannie zmiatać, albo ziemię dość głęboko przekopać, żeby unie możliwić rozwój zarodników. Skrobanie można wykonać albo specjalnymi skrobaczkami, albo tępą, starą kosą, czy sierpem, albo nożem, zrobionym z twardego drzewa, przyczem trzeba uważać, żeby nie obnażać, a tembardziej nie kaleczyć tkanki żywej (miazgi) pni skrobanych. Przed nadejściem wiosny wypadnie jeszcze drzewa pobielić, ale do tej sprawy wrócimy w osobnym artykulu.

Podczas czyszczenia i cięcia drzew trzeba zwrócić baczną uwagę na gniazda jajek, albo nawet uspio-nych gąsieniczek na gałęziach i na korze. Więc na wierzchołkach latorośli często spostrzegamy pęczki zaschniętych liści. Są to zimowe schrony, w których tkwią gąsieniczki białki rudnicy, czyli rudnicy złotopłynnej, składającej jajeczka w jesieni. Wczesną wiosną małe larwki opuszczają zimowy namiot i objadają najmłodsze listeczki.

Na latoroślach znajdujemy też niekiedy węższe, lub szersze obrączki, złożone z drobnych, twardych, szklistych jajeczek ómy pierścienicy. Jajeczka te trzeba zdejmować i palić, albo parzyć wrzątkiem. Gniazda, uprzednio opisane, też muszą być palone, bo deptanie ich, ani deptanie jajeczek nie odniesie żadnego skutku. Wreszcie na pniach, albo w rozwidleniach grubszych konarów, widujemy jakby kłaczki hubki — z jesieni różowawej, potem wyblakłej, żółtawej, a pod nią mnóstwo lśniących, kulistych jajeczek brudnicy nieparki. Jajeczka te trzeba ostrożnie zgarnąć na podłożony papier i zniszczyć w ogniu, bo, rozsypa- ne na ziemi, wylęgna się na wiosnę.

Jeżeli zależy nam na opóźnieniu kwitnienia niektórych odmian grusz, lub jabłoni, ażeby wypadło ono po przejściu przymrozków majowych, to możemy nagarniać śnieg na całą płaszczyznę pod koroną drzewa i mocno go udeptywać. Taki śnieg zlodowaciały trudno topnieje i opóźnia początek wegetacji.

W ogrodzie strojnym nadchodzi pora cięcia drzew i krzewów, oraz przerzedzania skupin. W większości ogrodów wiejskich widzimy zadrzewienia, bądź zupełnie nie cięte, pozostawione własnemu losowi, wskutek czego zagęszczają się nadmiernie i przedwcześnie starzeją, albo strzyżone bezkrytycznie do formy kulistej, owalnej, lub jak — szpalery. Obie te metody powinny być zarzucone. Z krzewów trzeba corocznie wycinać u nasady pewną ilość pędów najstarszych, ażeby wywołać przyrost świeżego materiału, a równocześnie zapobiec zagęszczeniu się krzaka. Bez dostępu światła i powietrza rośliny nie mogą ani zdrowo rosnąć, ani pięknie kwitnąć. Tymczasem strzyżenie wierzchołków wszystkich latorośli wywołuje silne

krzewienie się ich na obwodzie krzaka i zupełne zacienienie jego wnętrza. Pozatem niszczy charakterystyczny pokrój rośliny, u każdego gatunku inny, posiadający w naturalnym stanie właściwy urok. Więc przerzedzajmy krzewy, usuwając z nich wszystko, co jest chore, suche, stare, omszone, co innym pędem przeszkadza we wzroście, a wówczas wywdzięczą się nam obfitem kwitnieniem.

Przy zakładaniu ogrodów bywa w skupinach sadzona większa ilość roślin, niż jest pożądana w późniejszym okresie ich rozwoju. Ma to na celu rychlejsze zagęszczenie zarośli i danie obrazu ogrodu lepiej zarośniętego. Ale po upływie paru lat trzeba wyjąć, czy wykarczować ze skupin materiał pospolitszy, żeby szlachetniejszy nie uległ zagłuszeniu i mógł się pomyślnie dalej rozwijać. Tu padają zwykle ofiarą brzozy, wierzby, topole, akacje, a z krzewów: bzuwina, czasem bez zwykły, śnieguliczka, świdwa, trzmielina i t. p.

W parkach zaniedbanych, pomiędzy krzewami posadzonemi pojawia się ogromna ilość odrostków korzeniowych, które zagęszczają zarośla i zacierają granice pomiędzy poszczególnymi krzewami. Wszystkie te odrostki najlepiej wykopywać wraz z korzeniami podczas jesienno, albo wiosennego przekopywania ziemi w skupinach.

Żywopłoty i szpalery należy ostrzyć. Jeżeli wskutek zbyt długiego cięcia rozrosły się one nadmiernie i zwężają drogi, to zima jest najlepszą porą do radykalnego ich skrócenia. Przyszczytanie do starego drzewa znoszą one doskonale.

Na trawniki można rozsypywać popiół drzewny, wylewać gnojówkę, rozsypywać kompost, albo przetrawiony nawóz, który śnieg przykryje i zasłoni przed oczyma, a na wiosnę woda wyluguje i doprowadzi do korzeni. Może też na ten cel być użyta stawiarka (szlam), zeskrobki z podwórza, nawóz owczy, pomiot ptasi i t. p. Mech najlepiej niszczy popiół drzewny i kainit, rozsypywany pod wiosnę.

Ta garść wskazówek jeszcze bynajmniej nie wyczerpuje zimowej pracy w ogrodzie. W wielu miejscach istnieje szkółka, wymagająca w tej porze troskliwej opieki, tu i owdzie są szklarnie, lub ogrody zimowe, wreszcie pozostaje jeszcze obszerny dział pracy umysłowej, której zima sprzyja najlepiej.

Pomówimy o tych dziedzinach następnym razem.

Stan. Schönfeld.



PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Bóle w jamie brzusznej mogą być gwałtowne w postaci skurczu, lub stałe. Powierzchnia brzucha może być napięta, lub wzdęta. Do objawów cierpienia w jamie brzusznej należą wymioty, odbijanie się, biegunka, zaparcie stolca.

Wymioty są to odruchowe wypróżnienia jamy brzusznej, towarzyszą temu nudności i ślinienie. Wymioty mogą być na tle nerwowym, na tle wszelkich chorób przewodu pokarmowego, raka, zapalenia ślepej кишки, kolki wątrobianej, niedrożności jelit (skręt kiszek), chorób zakaźnych; również zatrucia powodują bardzo przykre i męczące wymioty.

Przy wymiotach pomoc nagle powinna polegać na podaniu herbaty z cytryną, usunięciu szybkim pokarmów, ażeby sam ich widok nie pobudzał chorego do dalszych wymiotów, wreszcie, jeżeli wymioty mają źródło w niestrawności, użyć środka przeczyszczającego. Naturalnie przy długotrwałych wymiotach przedewszystkiem zalewać lekarza. Niezależnie od wymiotów może nastąpić czkawka.

Czkawka powstaje wskutek skurczu przepony. Jest to cierpienie samo przez się niewinnej natury, jednak czasem może być oznaką śmierci. Przy gwałtownej czkawce podawać lód, lub krople walerjanowe.

Zaburzeniom przewodu pokarmowego często towarzyszą biegunki, t. j. częste i wolne wypróżnienia. Biegunki mogą występować na tle nerwowym, zapalenia kiszek, przeziębienia, spożycia jakiegoś surowizny, lub zepsutego pokarmu.

Przy biegunce należy stosować dietę, głódówkę (2—3 dni), do wewnątrz dobre jest wino czerwone, sok z czarnych jagód, gorąca herbata; na brzuch położyć okład z gorącej wody i ciepło nakryć nogi.

Bóle w brzuchu, połączone z zaparciem stolca i wzdęciem, mogą być oznaką niedrożności jelit; w tym wypadku tylko natychmiastowa operacja może uratować życie.

Bóle w jamie brzusznej napadowe zjawiają się przy kolce wątrobianej, czasem towarzyszą żółtacze, mogą być przytem wymioty i nudności. Stosować wówczas bardzo gorące okłady, kilka kropli opium, lub kilkanaście Inoziemcowa.

Mając do czynienia z bólami w jamie brzusznej, należy zwrócić uwagę, czy nie zachodzi wypadek zapalenia ślepej кишки.

Ból wówczas występuje po stronie prawej, daje się zauważyć wzdęcie brzucha, zaparcie stolca i podniesienie temperatury. Zwykle zapalenie wyrostka robaczkowego zdarza się w wieku młodym. Pomoc polega tylko na spokojnym ułożeniu chorego, położeniu zimnego okładu na brzuch i zachowaniu ścisłej diety, oraz zawiadaniu lekarza. Nigdy nie należy podawać środków przeczyszczających, jest to, jak już wspomniałam wyżej, karygodny błąd, albowiem może spowodować pęknięcie jelita, wylanie się treści do jamy brzusznej i — śmierć. Trzeba pamiętać, że tylko zabieg chirurgiczny może ocalić życie, przyczem zabieg musi być dokonany w przeciągu 24 godzin. Jeżeli atak przechodzi, należy raczej stosować leczenie wyczekujące, a operować tylko w ostateczności. Po zupełnem pozornem wyleczeniu powinno poddać się chorego operacji na zimno, to znaczy, już po przebytym ataku.

Nie można łudzić się, że po jednym szczęśliwie przeżytym ataku, życiu ludzkiemu już nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Zwykle bowiem po ataku słabszym przychodzą inne dalsze, coraz silniejsze. Trzeba pamiętać, że atak może nastąpić wówczas, gdy chory jest na letnisku, lub w drodze, a wtedy natychmiastowy zabieg chirurgiczny jest niemożliwy. Dlatego lepiej zawczasu zapobiec grożącemu niebezpieczeństwu i, idąc za wskazaniem lekarskim, dać się operować.

Podobne ataki bólu w dolnej części brzucha mogą pochodzić z zatrzymania moczu, wówczas najlepsze rezultaty daje ciepła kąpiel i sztuczne spuszczenie moczu.

Nagły ból w krzyżach może być objawem kolki nerkowej. Przy tem cierpieniu stosować gorące okłady i chorego położyć do łóżka. Bóle w krzyżach mogą być na tle nerwowym, leczenie stosować na nie identyczne, jak przy kolce nerkowej.

d. c. n.

Dr. med. Julia Świątalska.



UBRANIA NIEUŻYTECZNE

W wielu domach, gdy się wydobywa ubrania ze starych kufrów, w których zimowały, czyni się wybór między niemi wedle ich stopnia zniszczenia.

Rzeczy, które już straciły nie tylko swą świeżość, ale oddały masę usług i noszą już zbyt wyraźne ślady zniszczenia, mogą jeszcze służyć długo i oddać dużo usług biedniejszym: oczywiście pod warunkiem, że będą wyreperowane, jak wszelkie inne, i doprowadzone do należytego stanu.

O ile się da biednym kobietom, lub dzieciom stare kapelusze, dobrze jest odjąć wszelkie nieświeże kwiaty, rozfryzowane pióra, itp... Z sukien odpruć falbanki, plisy, wszelkie ozdoby, gdyż niema smutniejszego widoku nad ubiór, noszący ślady minionej świetności. Wzamian guziki muszą być starannie przyszyte, brzegi ubrań odświeżone, obrębione: w ten sposób nabiorą przyzwoitego wyglądu.

Gdy obuwie jest zaledwo nieco uszkodzone, daje się do reperacji; gdy okazuje się, że to nie warto, trzeba je dać w takim stanie, w jakim jest: zawsze ochroni czyjeś nogi od zetknięcia z błotem, lub śniegiem. I to wiele znaczy.

¶ Nie gardźcie niczem w tym przeglądzie, nie wyrzucajcie nic: każda rzecz się przyda, choćby na krótko.

Oto np.: pończochy, które uważacie za gałgany, a wcale tak nie jest. Przeciwnie, bardzo przydać się mogą. Z dwóch starych par można zrobić nową. Z czterech pończoch, poza użytym będącym, da się zrobić ciepłą spodnią sukienkę dla dziecka rocznego. Spódniczkę robi się z dłuższej części, malutki staniczek — z części stóp, jeszcze dobrych.

Nawet gdy są bawełniane, te stare pończochy stworzą ciepłe ubranko dla biednego dziecka, któremu wszystkiego brak.

Porządnie obrobione pończochy mogą służyć jako ciepła podszewka pod rękawy lekkiej tkaniny stanika.

W czasie tego przeglądu trzeba pamiętać i o bieliznie. Znoszone koszule oddadzą wielkie usługi biedakom. Pozwolą im na zbytek czystości, który nadaje dostojność ciału ludzkiemu. To samo powiedzieć można o starych prześcieradłach, ręcznikach i całej wogóle bieliznie.

Bielizna znoszona przyda się na miękkie koszulki dla malutkich dzieci, których skóra ma delikatność płatków różanych. Nie potrzebuje być trwała: małe ciała rosną szybko: po pewnym czasie koszulki będą nieużyteczne. Trwają zatem tyle, ile potrzeba.

Jeszcze raz powtarzam, że ubranie, które się daje, musi być w takim stanie, aby je można zaraz nosić. Ludzie pracujący ciężko nie mają czasu na reperacje, nie mają też na to środków. To też ubrania zniszczone zupełnie, a nie zreperowane, nie przydadza się im na wiele.

Tyle jest zakładów dobroczynnych, lub prywatnych biednych szwaczek, że będzie to podwójnem dobrodziejstwem, jeśli im damy zarobić przy tej sposobności.

Pamiętajmy jeszcze, aby nie dawać rzeczy brudnych. Dla biedaków to poniżenie, które czyni ich jeszcze bardziej nędznymi!

Wogóle trzeba się strzec tego, aby kufrów swych nie napełniać rzeczami nieużytecznymi. Przyciąga to mole, które następnie przechodzą na rzeczy wartościowe. Dom niepotrzebnie zamienia się w graciarnię, i to sprzeciwia się dobremu jego utrzymaniu. — Czynienie składów rupieci u siebie nie świadczy ani o porządku, ani o miłosiernem sercu pani domu.

W czasach porządków letnich, pomyślmy o obdarczeniu biedaków niepotrzebnymi nam sukniemi z płótna, lub perkalu.

W czasie upałów delikatną dziecienną skórę drażni wełna. Dorośli uczuwają też przykrość, gdy noszą ubranie zbyt ciepłe — w lecie.

W rodzinach mniej zamożnych ubrania rodziców przerabiają się dla dzieci. Znam nawet niektóre kobiety pomysłowe, które sobie uszyły ranne matinki, żakieciki ze starych i niemodnych ubrań swych mężów.

Z sukienek perkalowych, płóciennych, batystowych można uszyć zgrabne fartuszki dla pań i dzieci.

Kobiety oszczędne użytkują ubrania aż do ostatniego kawałka. Z perkalów szyją ściereczki do wycierania kurzu. Wskutek częstego prania, perkal, utraciwszy wszelką sztywność, nadaje się doskonale do tego użytku. Ściereczki te można wciąć w zęby i opatrzyć je w tasiemki, aby można było powiesić. Tasiemki najlepiej przyszyć w samym środku, to ułatwia powieszenie.

Z kawałków sukna można też w ten sam sposób zrobić ściereczki do wycierania posadzek, albo mebli. A gdy przez oszczędność już użytkowało się dla siebie ubrania w formie zmienionej, można je oddać biedniejszemu, gdzie rozpoczną nową i pożyteczną służbę.

F.

Przepisy Gospodarskie



NIEMIECKIE PĄCZKI.

Mają tę zaletę, że nie potrzebują rosnać przed smaženiem, można więc je prędko robić. Zagotować dużą szklankę mleka z łyżką masła i kawałkiem cynamonu. Gdy zakipi, cynamon wyrzucić, wsypać dwadzieścia deka mąki, wybić mocno na ogniu, aż od rondla zupełnie odstanie. Odstawić od ognia i wciąż ucierać drewnianą łyżką. Gdy letnie, dodać po jednym pięć całych jaj i ucierać jeszcze. Gdy ciasto gładkie, rozpalić szmalec, jak na pączki. Przygotować oddzielnie utłuczony z cukrem cynamon. Brać łyżką nieduże kawałki ciasta, nadając im możliwie okrągły kształt, rzucić na szmalec i smażyć, aż się wkoło ładnie zrumienia. Wyjmować na bibułę, dać osiąknąć dobrze, osypać grubo cukrem z cynamonem i podawać do konfitur.

FAWORKI WIEDEŃSKIE.

Tem się różnią od naszych, polskich, że się do nich używa mało jaj, to też tam, gdzie ich o tej porze roku brak, mogą być stosowane. Zagnieść pół kilo mąki, łyżkę masła, dwie łyżki cukru, jedno jajko, łyżkę octu i gęstej śmietany tyle, aby ciasto się dało zagnieść. Wybić ciasto mocno, rzucając je przez kwadrans o stół, poczem rozwałkować cienko, nie podsypując wcale mąką. Pokrajać je w pasy, jak zwykle na faworki, przewijając przez środek. Smażyć, jak zwykle w szmalcu na ładny, złoty kolor. Gorące osypać cukrem z wanilią.

FAWORKI NA SAMYCH ŻÓŁTKACH.

Sześć żółtek utrzeć z sześciu łyżkami cukru do białości, dodać szklankę najgęstszej śmietany, kieliszek araku, dodać tyle mąki, aby ciasto było twarde, jak na makaron. Wyrabiać godzinę przynajmniej, przykryć miską, wynieść na godzinę na chłód. Wałkować jak najcieniej, krajać w pasy, przecinać każdy kawałek w środku, przewijając. Rozpalić szmalec, rzucać nań faworki, aby swobodnie pływały. Smażyć na bladozłoty kolor. Faworki łatwo się przypalają, przerumienione są suche i niesmaczne. Gorące, po osączeniu na bibułę, posypywać cukrem, utłuczonym z wanilią.

Pani Elżbieta.

Dr. J. ŚWITALSKA

JUŻ WRÓCIŁA I ORDYNUJE CODZIENNIE OD 5—7.
KRUCZA 31, MIESZK. 3.

KOSMETYKA LECZNICZA, CHOROBY SKÓRNE I PŁOCIOWE, ŚWIATŁOLECZNICTWO.

DOBRE RADY

W zimie, kiedy mrozy straszą, wrażliwe na zimno ręce i nogi moczyć w następującym płynie, który nie tylko goi dawne odmrożenia, ale zapobiega świeżym: 16 gr. świeżo spreparowanego chlorku wapna suchego wsypać do porcelanowego moździerza, lub miseczki, i zwilżyć cokolwiek zwyczajną zimną wodą. Czystym wałeczkiem proszek ten rozetrzeć — do otrzymanej w ten sposób białawej maści dodać szklankę wody, razem wymieszać, przecierając wałkiem, i przecedzić przez gruby muslin. Pozostałe nie rozpuszczone części chlorku jeszcze raz zmieszać ze szklanką wody i przecedzić. Połączyć ze sobą oba płyny, zlać w butelkę i szczelnie zakorkować. Rano i wieczór maczać ręce i nogi w tym płynie — i dopiero po zaschnięciu wycierać ręcznikiem.

* * *

Nic tak dobrze nie działa na oparzenie, jak soda. W najcięższych wypadkach płatki, maczane w roztworze dwuwęglanu sody — przynoszą natychmiastową ulgę i goją szybko rany. Przy mniejszym oparzeniu, dobrze jest posmarować oparzone miejsce rozbitym żółtkiem od jajka.

KORESPONDENCJE

Pani J. H. Lubliniec. O ile szyby powalane klejem, najlepiej umyć je gorącą wodą z mydłem; trzeba to powtarzać kilka razy, żeby klej odmięł. Następnie użyć amonjaku, rozrobionego z kredą na gęste ciasto, którym posmarować szybki, poczekać, aż wyschną, i dopiero wycierać dosucha miękką ściereczką. Irchę, o ile nią pudełko wybite, trzeba czyścić benzyną, wycierając kałkiem waty, dopóki nie będzie zupełnie czysta.

Czytelniczko z Częstochowy. Dostanie się obecnie do dobrego magazynu, zwłaszcza na płatną posadę, jest — wskutek ogólnego zastoju — bardzo trudne. Z magazynów najlepsze są: B. Herse, Marszałkowska 150, Lucy — Boduena 8, Wanda (Makowska) Marszałkowska 68, Thonesowa — Traugutta 6 i wiele innych.

Państwu K. i A. OP: w Serokomli Niestety, adresu większej hodowli królików w kraju nie posiadamy. Artykuł, wzmiankowany przez Sz. Panią, podaliśmy dla zachęcenia do hodowli tego pożytecznego zwierzątka. Zarodowe sztuki dostanie się zagranicą — adresów szukać można w książkach, traktujących o hodowli królików. Chcąc w kraju odszukać coś odpowiedniego, najlepiej dać ogłoszenie do pism codziennych, cieszących się powodzeniem na wsi.

Pani W. O. Bleck. Wzorami możemy służyć tylko podawanymi w Bluszczu — o inne niech Sz. Pani zwróci się do p. Romanitowej Ossolińskich 8, Warszawa. Do roboty point-lace trzeba używać specjalnych tasiemeczek, mogą być i jedwabne, — Wtedy robi się ścięgi jedwabnym kordonkiem, — Przy bawełnianych —

używa się kordonku, zwanego coton perlé — do bardzo cienkich tasiemeczek — nici lnianych koronkowych. Koronką point-lace można robić serwety, robota ta jednak nie jest bardzo trwała i nie wygląda dobrze po praniu, choćby najstaranniej. Poduszkę, podaną w „Haście Kolorowym“, wyszywa się kordonkiem, zwanym „coton perlé“. O podręczniku do robienia zabawek nie słyszeliśmy, ale mamy zamiar niedrogo wydać taki podręcznik. Przepis na trwałe ciasteczka wkrótce podamy. Włoski dziecka często obcinać; sędzę, że same się poprawią.

Pani J. T. W kwestjach podobnej natury jak ta, którą Pani porusza, możemy tylko udzielić rady zwrócenia się do lekarza.

◄ DZIEDZINY KOSMETYKI

J. M. Wieś. — Kuracji na włosy proszę nie przerywać, wcierać lekarstwo systematycznie, dokładnie trzymając się podanych wskazówek. Włos wypada dopiero po 75 — 90 dniach od chwili zamarcia cebulki, nie więc dziwnego, że wypadają w dużej ilości. Tych zamarych włosów uratować nie można, a trzeba wzmacniać pozostałe i powodować porost nowych włosów na miejsce zamarych. Proszę więc kontynuować kurację.

Dr. J. Świtalska.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — makata — ekran — zł. 2.50, poduszka — serwetka — zł. 1.50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.



Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.